MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK X. Nr. 28. WARSZAWA, 13 LIPCA 1930 R. CENA NUMERU 80 GR.

ZAPOMNIANA DZIELNICA

(W DZIESIĘCIOLECIE PLEBISCYTU WSCHODNIO-PRUSKIEGO)

OBCHODZIMY w tych dniach dziesiątą rocznicę odbytego dnia 11 lipca 1920 r. plebiscytu w szerokiej, południowej strefie Prus Wschodnich, złożonej z trzech odrębnych okręgów, a mianowicie z Ziemi Malborskiej (t. zw. Powiśla wschodnio-pruskiego), z południowej Warmji, oraz z Mazur. Jak wszyscy wiemy, plebiscyt odbywał się w tragicznym momencie inwazji bolszewickiej w Polsce, — w okresie zatem, w którym państwowość polska nie mogła być czemś zbyt atrakcyjnem dla szerokich, na całym świecie kierujących się najczęściej oportunizmem, mas zmęczonej wielką wojną ludności. Jak wszyscy wiemy, oprócz tego, plebiscyt odbywał się na terytorjum, przez Niemców administrowanem — drobniutkie garnizony aljanckie, rezydujące w największych miastach, oraz zaimpronizowane urzędy plebiscytowe nie były w możności tej hegemonji niemieckiej w administracji nawet w skromnej mierze osłabić — dzięki czemu głosowanie odbyło się w warunkach tak straszliwego terroru i tak nieprawdopodobnie wielkich nadużyć na korzyść Niemiec, że trudno jest właściwie o niem mówić jako o istotnem głosowaniu. Polityczny jednak skutek tego plebiscytu trwa niewzruszenie po dziś dzień: już dziesięć lat teren plebiscytowy należy do Niemiec. Więcej nawet: już dziesięć lat teren plebiscytowy jest eliminowany z życia ogólno polskiego i przez Polskę poprostu całkiem niemal — zapomniany.

Niechże smutna rocznica nieszczęsnego plebiscytu będzie tym pretekstem, który pozwoli nasze północne, utracone dzielnice szerszemu ogółowi przypomnieć.

Przedewszystkiem — jak jest z ich polskością? Aby odpowiedzieć sobie na to pytanie — zapoznajmy się z wynikami cyfrowemi niemieckich spisów ludności. Źródło to niezbyt wprawdzie zasługuje na zaufanie — poucza jednak mimo wszystko.

Oto dane statystyki językowej z terenu Warmji i Mazur:

Rok	język niemiec.	język polski	dwujęz. polsko-niemiec.	język mazur.	dwujęz. mazur.-niem.	Razem lud. mów. po polsku
1890	219.871	199.673	15.158	95.036	4.611	314.478
1900	245.644	142.054	14.414	124,973	7.509	288.950
1905	259.732	58.436	3.695	215.169	10.262	287.562
1910	292.418	71.648	12.494	172.080	7.666	263.888
1925	481.168	13.932	18.209	41.375	23.913	97.429

A oto analogiczne dane z terenu Powiśla:

Rok	język niemiec.	język polski	dwujęz. polsko-niemiec.	język mazur.	dwujęz. mazur.-niem.	Razem lud. mów. po polsku
1890	122.569	21.293	3.221	72	8	24.594
1900	127.797	19.869	2.325	50	15	22.259
1905	132.758	20.154	1.349	79	8	21.584
1910	135.2?4	22.194	1.581	34	9	23.815
1925	157.052	6.337	6.048	100	44	12.529

Razem więc na całym obszarze plebiscytowym było ludności niewątpliwie polskiej z pochodzenia (mówiącej po polsku, po „mazursku“, oraz dwujęzycznej, t. j. po polsku wzgl. mazursku i po niemiecku) — według statystyki niemieckiej:

w roku	1890	—	339.072
„	1900	—	311.209
„	1905	—	309.165
„	1910	—	287.703
„	1925	—	109.958

Rozpatrując te cyfry, musimy wziąć pod uwagę okoliczności następujące:

1) Grupa „dwujęzycznych” (której wyodrębnienie umotywowane jest istnieniem dzieci z małżeństw mieszanych i tym podobnych jednostek, narodowo nieokreślonych) w rzeczywistości należy w całości do rubryki polskiej. Fakt półtora raza większej liczebności dwujęzycznych, niż samych

Polaków (np. w. r. 1925 na Warmji) jest już *à priori* nieprawdopodobny. Zapoznanie się ze stosunkami na miejscu potwierdza jego fałszywość.

2) Odrębny język mazurski, a nawet wyraźnie odgraniczona gwara mazurska nie istnieje. Mazurzy mówią po polsku.

3) Jak widać ze spisów przedwojennych — ludność polska omawianego obszaru bynajmniej nie zdradza przed wojną zarysowanej zbyt wyraźnie tendencji do kurczenia się. Na Powiślu liczba Polaków (zwłaszcza jednojęzycznych) powiększała się wówczas. Również i na Warmji, po ustaleniu się— chwiejnej początkowo — granicy między Polakami (katolickimi warmjakami), a ewangelickimi Mazurami — liczba Polaków szybko przed wojną wzrastała. Jedynie Mazurów spisy przedwojenne oznaczały jako żywioł topniejący. W tych stosunkach nagły, nieoczekiwany spadek liczby Polaków w ciągu piętnastu lat od r. 1910 do r. 1925 na Powiślu do połowy (z 23.815 na 12.529), a na Warmji i Mazurach do jednej trzeciej (z 263.888 na 97.429) wygląda zupełnie nieprawdopodobnie.

4) Spisy przedwojenne dalekie były od bezstronności. Tendencyjność ich wykazał dostatecznie dobitnie przy pomocy innych danych statystycznych — takich jak statystyka dzieci szkolnych i in. — prof. Eug. Romer w swej kapitalnej pracy „Polacy na kresach Pomorskich i Pojeziernych“ (Lwów 1919).

5) Spis z r. 1925 — przeprowadzony z tendencją znalezienia w nim potwierdzenia wyników plebiscytu z r. 1920 — obudził tyle zastrzeżeń (*vide* np. rozprawę Mieczysława Przyskiego „Mniejszości językowe w Prusach w świetle spisu 1925 r.“ w czasopiśmie „Sprawy Narodowościowe“,— 1928, Nr. 5) — że za jako tako ścisłe źródło informacyj służyć nie może.

6) Emigracja z omawianego terenu w ostatnim piętnastoletnim okresie nie osiągnęła cyfr zbyt poważnych. Powierzchowna choćby obserwacja stosunków na miejscu stwierdza nadto, że i wynarodowienie nie poczyniło tam w tym czasie postępów zbyt znacznych. Oba rodzaje strat skompensowane są z pewnością przez przyrost naturalny.

Można więc przyjąć jako pewnik, że liczba Polaków na omawianym terenie wynosi conajmniej tyle, ile ich wykazał ostatni spis przedwojenny, to znaczy około trzystu tysięcy. Stanowi to blisko połowę ogółu ludności tego terenu. Jeśli odrzucić obszary czysto niemieckie Powiśla (powiaty Suski, Malborski i większa część Kwidzyńskiego; polski— poza północnym skrawkiem Kwidzyńskiego — jest tam tylko powiat Sztumski), północny, niemiecki pas Warmji i Mazur, oraz zniemczone większe miasta — otrzymamy rozległy obszar o przytłaczającej przewadze Polaków. Każdy, kto obszar ten zna, kto słyszał mowę polskę, huczącą tam zwycięsko w dni targowe po miasteczkach, kto przysłuchiwał się dzieciom po wsiach, aż do chwili pójścia do szkoły języka niemieckiego wogóle nie znającym — albo i ludziom dorosłym, między którymi — zwłaszcza w starszej generacji — osób, nie rozmawiających po niemiecku nie brak jest również — ten nie może nie przyznać, że istnienie w obrębie Prus Wschodnich dużej, rdzennie polskiej dzielnicy jest faktem.

Jakaż jest przeszłość tej dzielnicy? Jak całe dzisiejsze Prusy Wschodnie, wyłoniła się ona z pomroki dziejowej jako kraj, zamieszkany przez spokrewnioną z Litwinami ludność pogańskich prusaków. Tylko zachodnia jej część, zwana Pomezanją, posiadała — zdaje się — zaludnienie słowiańskie (polskie), nad którem panowali jedynie pruscy książęta — najeźdźcy. Rozległe, omawiane tutaj terytorja stały się z czasem terenem ekspansji Zakonu Krzyżackiego, który wezwany został do Polski w r. 1226 przez Konrada, księcia Mazowieckiego dla walki z Prusakami, lecz już wkrótce potem stał się samoistną, wrogą Polsce, groźniejszą znacznie od samych Prusaków potęgę. Krzyżacy przeprowadzili w swem słabo zaludnionem państwie (o ludności przerzedzonej nadto przez bezwzględne tępienie tubylców) wielką akcję kolonizacyjną — posługując się materjałem osadniczym, zarówno sprowadzanym z Niemiec jak i z sąsiednich ziem polskich (oraz z etnograficznie i historycznie polskiego, należącego jednak do Krzyżaków, podbitego przez nich na lat sto kilkadziesiąt Pomorza)—a nawet i z innych krajów, jak np. z Czech[1]). Polacy osiadali oczywiście przedewszystkiem na pograniczu ziem polskich, z których kolonizacja polska ławą się w ziemie krzyżackie wdzierała, — podczas gdy osadnictwo niemieckie koncentrowało się głównie na północy, t. j. u wybrzeży Bałtyku. Dzięki temu, podbite przez Krzyżaków ziemie pruskie podzieliły się etnograficznie na dwie odrębne dzielnice, — obie młode i pochodzące z kolonizacji, — niemieckie na północy i polskie (znacznie rozleglejsze, niż dzisiaj, zredukowane później przez proces germanizacji) — na południu. Ludność tubylcza, której resztki przetrwały aż do XVII wieku, rozpłynęła się w masie kolonistów.

Drugi pokój Toruński w r. 1466, który zwrócił Polsce zagrabione przez Krzyżaków Pomorze, nie kierował się przy wytyczaniu granic zasadą etnograficzną. Rozległa dzielnica, zaludniona przez osadników mazurskich, pozostała przy Zakonie. Do Polski przyłączono z ziem, stanowiących dzisiaj Prusy Wschodnie, jedynie ziemię Malborską, oraz Warmję. Niektóre części tych ziem (na Warmji część północna) posiadały ludność niemiecką, — reszta była polska. Odtąd losy dzielnicy polskiej w Prusiech Wschodnich potoczyły się dwoma różnemi torami. Polska Warmja i ziemia Malborska brały udział w życiu ogólnopolskiem,— obszar pozostały, zwany dziś ziemią Mazurów Wschodnio-pruskich, trwał — tak jak Śląsk — w narodowem odosbnieniu. Sekularyzacja Zakonu w r. 1525, przynosząc z sobą przejście całej ludności państwa Krzyżackiego, a więc i Mazurów na ewangelicyzm, pogłębiła przedział między nimi, a katolicką Polską, — wprawdzie nie w czasie samej Reformacji, gdy „nowinki“ religijne krzewiły się bujnie i w Polsce i gdy nawet protestantyzm pruski znajdował nieraz w Polsce częściowo natchnienie — ale później.

Etnograficznie polskie części ziemi Malboskiej są duchowo i kulturalnie polskie od góry do dołu — i nie różnią się pod tym względem w niczem od sąsiedniego Pomorza.

Czynnikiem, który szczególnie silnie spaja kulturalnie tamte strony z resztą Polski, jest polskość tamtejszej szlachty, związanej węzłami pokrewieństwa i stosunków ze szlachtą na Pomorzu i w pozostałych dzielnicach Rzeczypospolitej. Mimo ciągów, zadanych polskiej wielkiej własności

[1]) O historji kolonizacji Prus Wschodnich, patrz cenne prace prof. Wojciecha Kętrzyńskiego (który sam z Prus Wsch. pochodził): „O ludności polskiej w Prusiech niegdyś krzyżackich“. Lwów, Ossolineum, 1882.

rolnej przez zaborców w Prusiech Królewskich (do których należało zarówno Pomorze, jak ziemia Malborska) — stare polskie rody hr. Sierakowskich, Donimirskich, Janta-Połczyńskich i innych po dziś dzień włodarzą w dworach i pałacach w Sztumskiem.

Na południowej Warmji brak było tego czynnika łączności z resztą Polski, jakim pod Malborkiem była szlachta. W dziedzinie biskupiej, jaką była Warmja, zbyt silny stan szlachecki naogół się nie wytworzył, — Warmja jest krainą chłopską. Ale i tam związki historyczne z Polską były zbyt mocne, by się mogły zerwać zbyt łatwo, — mimo, że polskość przestała tam znajdować zdecydowaną ostoję w katolicyzmie, odkąd biskupstwo Warmijskie — ongiś rezydencja kardynała Hozjusza, Marcina Kromera, Ignacego Krasickiego — stało się po rozbiorach ośrodkiem promieniowania niemczyzny. Nawiasowo mówiąc, północna, etnograficznie niemiecka część Warmji — dzięki swej dawnej przynależności do Polski — pozostała również katolicką, dzięki czemu granice rozsiedlenia katolików i ewangelików w Prusiech Wsch. pokrywają się z przedrozbiorowemi granicami politycznemi.

Związki dziejowe Warmji z Polską okazały się w każdym razie dość mocne, by życie ludu polskiego na Warmji (w powiecie Olsztyńskim i południowej części Reszelskiego), — życie ludu, prowadzonego przez księży i garstkę inteligencji świeckiej, — szło równoległym torem z życiem reszty naszego narodu.

Mazowsze Pruskie — dopóki związki Prus książęcych z Polską były ścisłe — również żyło życiem wspólnem z resztą naszego narodu. Wtedy to upowszechnił się tam polski język literacki. Gdy Prusy uwolniły się od zależności lennej od Polski, gdy połączyły się z Brandeburgją, całemu państwu Hohenzollernów dając nazwę — osłabła łączność Mazur pruskich z Polską. Zaczął się proces germanizacji, przez władze pruskie energicznie popieranej. Zniemczyły się północne okręgi. Znikł język polski z urzędów i ze szkół, zniemczyło się następnie duchowieństwo protestanckie. W czasach dzisiejszych zaczęto rugować język polski ze zborów i nabożeństw. Rozluźniały się stopniowo węzły duchowe z Polską, — krajem katolickim. Zaczęto bezpośrednio przed wojną nawet nazwę „Polak“ i „polski“ z powierzchni Mazowsza rugować, zastępując ją nazwą dzielnicową Mazurów. Widoczna jest ta dążność do przemianowania Polaków wschodnio-pruskich na osobną narodowość mazurską między innemi i w wyżej zacytowani statystyce (spadek liczby Polaków i wzrost liczby Niemców w latach 1890 — 1900 — 1905). Jednak związków opartych na węzłach krwi i na wspólności języka — zniszczyć się całkiem nie dało. Bezpośrednio przed wojną zaczęło na Mazurach kiełkować odrodzenie narodowe w duchu polskim, — analogiczne do śląskiego. Kataklizm plebiscytu brutalnie przerwał jego rozwój

J.

O KULTURĘ POLITYCZNĄ „ZŁOTEGO WIEKU”

NA ZJEŹDZIE naukowym ku czci Kochanowskiego nie zbrakło — wśród tylu innych pięknych referatów, interesującego wykładu dyrektora Józefa Siemieńskiego na temat obyczajów i form politycznych zygmuntowskiej epoki. Słuchało się pogodnych wywodów mówcy z tem większą przyjemnością, że snuł je badacz, który z dobą Kochanowskiego zżył się dobrze, umiał się w niej rozsmakować i innym jej smaku udzielić. A jednak ludziom, skąpanym w dzisiejszości, a mającym w uszach klątwę: „O nierządne królestwo i zginienia bliskie...“, trudno było nie stawać duchem w rzędzie tych wyborców, co razem z panem Janem głosowali na Henryka, czy też Austrjaka, czy też Moskwicina, i nie przejmować się jego apelem do tych, co Pospolitą Rzeczą władali. Wówczas rodziło się pytanie, kto ma właściwie rację: czy prelegent wysławiający tamtą kulturę polityczną — czy poeta świadek, bliską zgubę przeczuwający?... Historykowi, co zwykł badać dzieje polityczne, niełatwo patrzeć na sprawy państwa przez okulary historji kultury. Nawet Burckhardt, gdy pisał o obyczajach i kształtach politycznych Renesansu, niezawsze umiał pohamować w sobie odruchy sądu nad ówczesnymi ludźmi, choć miał po temu dobre „nastawienie“, jako b a d a c z pewnego gatunku ludzkiej p r z y r o d y. Kto inny na jego miejscu folgowałby jeszcze częściej swej skłonności do oceny czynów bądź ze stanowiska dobra narodu i państwa, bądź nawet pod kątem widzenia ideałów osobistych. A tu właśnie trzeba sobie powiedzieć, że kultura bywa wykwintna, bogata, rozwojowo - wysoka a zarazem niezupełnie zdrowa. Kto pyta o zdrowie, ten nie spojrzy czystem okiem na kulturę Aten Peryklesa albo Florencji Macchiavellego. Gdzież takiemu„ politykowi“ rozprawiać o kulturze?

Przypuśćmy, że jest tak. Ale jeżeli o poziomie kultury artystycznej stanowią walory artystyczne, o gospodarczej — gospodarcze, jeżeli nie chwalimy fabryk za malowniczość ich kominów, to i dla charakterystyki, a tembardziej dla oceny kultury politycznej miarodajne będą walory polityczne a nie żadne inne.

Musimy się zresztą porozumieć co do znaczenia wyrazów. Przymiotnik polityczny albo oznacza związek z państwem („prawo polityczne“), albo dotyczy umiejętności zwanej polityką. Tak samo przez kulturę polityczną można rozumieć albo wszystkie dobra potrzebne do działania w państwie, a więc prawo, obyczaj, środki gospodarcze, wychowanie obywatelskie, organizacje etc., albo specjalną umiejętność, t. j. c e l o w o ś ć i s i ł ę politycznego działania. Referent zjazdowy wyszedł z szerszego pojęcia, przez co dyskusję wyprowadził na pełne wody. W innym sensie zato przyjął dobrowolnie pewne ograniczenie: wszak przez kulturę rozumiemy zawsze z d o l n o ś c i i w y t w o r y, tymczasem dyr. Siemieński niemal wyłącznie interesował się wytworami polskiego szlachcica Złotego Wieku, a nie próbował dać przekroju jego umysłu i serca.

Referat — znany setkom uczestników Zjazdu, a przeznaczony do druku na użytek powszechny— nadaje się już dziś, zdaniem naszem, do publicznej dyskusji. Został on zbudowany według schematu: ź r ó d ł o, o c e n y, f a k t y, s k u t k i.

Badanie ź r ó d ł a czy też przyczyn ograniczyło się stwierdzeniem, że kultura polityczna

czasów Kochanowskiego miała za sobą dwa wieki rozwoju, że była rodzima, stempla królewskiego, potem możnowładczego, wreszcie szlacheckiego, a tylko część pokostu zawdzięczała antycznemu światu. Sądzimy, że można było przy tej sposobności wniknąć w krzyżowanie wpływów Zachodu i Wschodu, zbadać wpływ wychowawczy katolicyzmu, humanizmu i reformacji, zanotować przelotne wpływy Italji, Niemiec, Węgier, może i Czech.

Ocena kultury politycznej wypadła dla pokolenia Zamoyskich chwalebnie: ze wszystkich przedmiotów („mierników"), które autor uwzględnił, z wyjątkiem jednego (równość przed prawem) dostała Polska stopień bardzo dobry lub dobry. Okazaliśmy się za czasów Kochanowskiego narodem postępowym, przynajmniej z punktu widzenia ideałów XIX wieku; czy był to także postęp ze stanowiska wieku XVI lub XX, i czy wogóle egzamin był wszechstronny, o to wolno się pospierać.

Dopiero po rozdaniu świadectw nastąpiło przedstawienie faktów: najistotniejsza i najcenniejsza część referatu. Po faktach wnioski, dotyczące następstw, jakie zawdzięczamy zygmuntowskiej kulturze politycznej w czasach najnowszych i dzisiejszych; o skutkach bliższych w XVII i XVIII wieku referent nie miał czasu mówić.

Bądź co bądź skoro wykład p. Siemieńskiego znany jest setkom uczestników Zjazdu i skoro wnet zostanie udostępniony najszerszym kołom, godzi się już dziś nawiązać doń pewne uwagi krytyczne.

*

Ktokolwiek z nas przeniesie się myślą do sali sejmowej za Zygmunta Augusta albo za Batorego, dozna podniosłego wrażenia wysokiej kultury: jakiż poczet myślących obywateli, jakże żywe dyskusje! jaka samowiedza historyczna w tej izbie, jakie wyczucie powagi chwili. Przytem co za ton szlachetny nawet wśród sporów! Jak bardzo uprzejmie przemawia do stanów, z uchyleniem czapki, ostatni potomem świetnej dynastji! Jak dostojnie, majestatycznie apostrofuje posłów, nawet gdy z nimi walczy, prawdziwy Stefan Batory! Te odgłosy brzmią przy dzisiejszych — jak symfonja obok *jazz-band*'u. Bo też epoka była w dobrem znaczeniu arystokratyczna: dół zapożyczał tonu u góry, a nie góra dostrajała się do dołu. Ale powyższe dokumenty wysokiej kultury świadczą właściwie o obyczajach, a nie o polityce, podobnie jak podziw Francuzów dla poselstwa Zamoyskiego i towarzyszy należał się naszym strojom i znajomości języków, a nie naszej sztuce dyplomatycznej. Sprobujmy — z pomocą dra Siemieńskiego — zbliżyć się do jądra sprawy.

1⁰. Dominującem zjawiskiem w dziedzinie, o której mowa, jest szybkie wystąpienia z bezimiennej szlacheckiej *communitas* mnóstwa politycznych indywidualności. Wiedza, talent, doświadczenie, stają się udziałem setek, może tysięcy. To prawda: ale do gospodarki w państwie dochodzą w ciągu paru pokoleń — setki tysięcy. Mniejsza o to, czy nasz procent uprawnionych do udziału we władzy i zakres tego udziału góruje w XVI wieku nad całą Europą (możnaby podyskutować o Szwecji, Holandji, Węgrzech). W tem sęk, że między szczytami i niżem wytworzył się pod pozorami równości dystans ogromny. Szczyty pokierują, jeżeli dojdą do zgodnej ideologji. Jakoż pokierowały — w pewnej mierze, do pewnego punktu, a resztę zdały na los.

2. Zagranicy przyglądano się bacznie, ale uczyć się od niej nie chciano:

„Dziwna rzecz — mówi Górnicki — strojów cudzych, włoskich, iszpańskich, tureckich używacie, a co dobrego w ziemiach tych jest, naśladować nie chcecie. Turcy, jako Mahomet kazał, wodę piją, z którego wodopicia siła dobrego Turkom wyrosło. Ci, którzy u was po turecku chodzą, wino niż wodę wolą. U nas we Włoszech jest wielka sprawiedliwość, a wżdy tym, którzy po włosku chodzą, rząd się nasz i prawo nie podoba... Ślecie młódź do Włoch dla tańców na lutnie: nie przynoszą oni stamtąd tego, coby koronie było zdrowo, a to, czego nie umieć zdrowiej by było. Bo przez miłego Boga, jeśli wy nie macie na to rozumu, jako złemu zabieżać, więc poślijcie do cudzej ziemi radzić się około tego".

A przecież było czego się uczyć i z angielskiego parlamentu i z francuskich Stanów Generalnych i z hiszpańskich *consejos* i z włoskich Signoryj. Znaleźliśmy się w Europie, a jakby poza Europą, przepraszam ponad Europą, jeżeli mamy wierzyć pewnym ideologom złotej wolności, pewnym publicystom porozbiorowym (Buszczyński, Chołoniewski), a bodaj i dyr. Siemieńskiemu. Trzebaż raz wreszcie rozstrzygnąć pytanie, przenikające całą naszą dawną kulturę, włącznie z kulturą polityczną. Czy byliśmy cywilizacyjnie młodsi, jak chciał Szujski, czy wyprzedzaliśmy Europę? Przyjmując, na podstawie różnych porównań z dziedziny gospodarczej, konstytucyjnej, literackiej, artystycznej, tezę Szujskiego, gotów jestem przyznać głosicielom „wyprzedzania" jedno ustępstwo: naród polski, jak młody i nieokiełznany taternik, spróbował wyprzedzić inne wędrujące narody, zrobił „*trawers*", potknął się w skoku, zjechał w przepaść, na szczęście bez śmiertelnego skutku, poczem wrócił na wydeptany szlak, by wziąć udział w dalszych zawodach nie bez nadziei zwycięstwa. Na przyszłość dobrze zrobi, jeżeli ani we „własnej opinji" ani w cudzych komplementach nie uzna poważnego „miernika" doskonałości.

3. Nie kwestjonując bowiem asymilacyjnego wpływu naszej kultury politycznej na Litwę i Ruś, widząc w niej owszem mocny czynnik zespolenia, trudno nie dostrzec, że ekspansja postępowała kosztem wewnętrznego pogłębienia: właśnie po unji lubelskiej równomiernie z wysiłkiem asymilacyjnym na wschodzie, słabnie rozmach myśli politycznej w rdzennej Polsce.

4. Twierdzenia o zupełnej praworządności między organami państwa tudzież między władzami i narodem, ba, nawet o praworządności nienadwerężonej między obywatelami słuchaliśmy nie bez zdumienia. Że w zasadzie król był poddany prawom, że prawo było najwyższym władcą, to wiadomo. Że władza nie mogła bezprawnie gnębić obywateli, także zgoda: ale jak traktował obywatel władzę? Jeżeli Olbracht mógł pokarać konfiskatami nieposłusznych pospolitaków, to czemu Zygmunt nie uczynił tego samego po Wojnie Kokoszej? Czy Modrzewski żartuje, gdy mówi o mnożących się bezkarnie mężobójstwach? Czy tuziny morderstw w dobie elekcji Zygmunta III świadczą o praworządności między obywatelami? I jeszcze jedno: jeżeli prawodawca w Toruniu oznaczył (1520) jako miarę pańszczyzny jeden dzień z chłopskiego łanu na tydzień, jeżeli potem sędzia i to niebylejaki, bo kanclerz w asesorji normę tę podwaja i potraja, a przytem w żywe oczy cytuje statut toruński, to zapewne można w tem widzieć osobliwy rodzaj „kultury prawniczej" ale niepodobna mówić o nienadwerężonej praworządności. A jeżeli rząd i sejm takie kłam-

stwo sądowe widzą, i nie probują przeredagować przestarzałej normy, to nie świadczy nawet o kulturze prawniczej.

5. Dowód karności obywatelskiej znalazł p. S. w tem, że mniejszość w XVI w. ustępowała, a zasada jednomyślności doprowadzała do zgody. Pomijając już bałamutne skutki takiego sposobu załatwiania sporów (przesąd jednomyślności — i *veto*) widzimy na zjazdach XVI wieku raczej solidarność niż karność — bo ta ostatnia każe domniemywać autorytet, w danym razie autorytet liczby. Nie widać zresztą karności w sporadycznych za Zygmunta I (od 1512 r.) protestach sejmików przeciw sejmom walnym, ani w rokoszu lwowskim, ani w rozłamie na dwa koła elekcyjne 1581 r., ani we frondzie wielkopolskiej Karnkowskiego (1590). Solidarność obowiązywała w okresie walk izby poselskiej z senatem (1540 — 73), nie dłużej.

6. Niemniejszą wątpliwość budzi sąd referenta o postępach świadomości prawnej. Że ustaw pisać nie umiano, to rzecz znana; że umiejętna kodyfikacja zostawała w sferze projektów, a nie przechodziła przez sejmy, również. „Postęp w wyrazie prawno-politycznym" np. w kwestji artykułu o wypowiedzeniu posłuszeństwa, był dziełem królów (formuła Batorego 1576 r., formuły Zygmunta III 1607 i 1609), ale się załamał pod parciem szerokich rzesz. Tu znów Górnicki służy nam świadectwem obciążającem: „Wasze zaś prawo zamiast wszystko porządnie opatrzyć, formowało się bezładnie, a w miarę jak co u króla uproszono i w przywilej włożono, tak zasię na papier i w druk to weszło". Prawo polskie „tak jest zawikłane, iż go ludzie nawet umieć nie mogą i naprawdę nie umieją".

7. Aby wykazać niezgorszą sprawność naszego administracyjnego ustroju, wypadło sięgnąć po porównanie do Rzeszy Niemieckiej, że Niemcy ówcześni ani Turkom nie dawali rady, ani obronić Inflant nie mogli. Ależ ta Rzesza, to było nieszczęśliwe *monstrum politicum* i owo *monstrum* ani tureckiej ani inflanckiej bolączki nie czuło tak mocno, tak blisko, jak my czuliśmy najazdy tatarskie, inwazje moskiewskie, prowokacje wołoskie, knowania pruskie, — a czyż można mówić o sprawności ogromnego państwa, które musiało uruchomiać kilkadziesiąt skrzypiących sejmików, aby postawić kilkanaście tysięcy wojska. Czy wojna pruska 1520 r., wojna siewierska 1535 r., mobilizacja radoszkowicka 1567 r. były popisami sprawności?

8. Nie dziw, że wobec tego zagranica, mimo częstych objawów sympatji dla naszych idej wolnościowych, wolała nam zazdrościć swobód, niż stosować je u siebie. Chlubimy się chętnie sukcesem Żółkiewskiego na Kremlu; próbujemy dowodzić, że obce ludy chciały naśladować nasz ustrój, ale im w tem przeszkodziły despotyczne rządy, lecz cóż to za wola, która nawet nie usiłuje na swojem postawić? Przecież inaczej wyglądały rzeczywiste recepcje urządzeń włoskich, francuskich czy angielskich.

9. Bo też do kultury politycznej, poza wytwarzaniem szczytnych idej, należy w jeszcze wyższym stopniu umiejętność ich wcielania w czyn, — należy rozum stanu. Nie ten spryt gracza, co wyzyskuje konjunktury i wygrywa z dnia na dzień — zdaniem naszem od Filipów Macedońskich do Filipów francuskich, i od Fryderyków Sztaufów do Fryderyków Hohenzollernów sztuka gry politycznej nie zrobiła żadnych postępów, więc nie stworzyła osobnej „kultury". Ale kulturę znamionuje rozum państwowo-twórczy, co przewiduje daleko i steruje celowo. My w urządzeniach społeczno-politycznych XVI wieku okazaliśmy niezwykły rozum stanu, ale stanu szlacheckiego, nie narodowego. Urzeczywistnianie idej państwowych szło jak po grudzie. Wspomnieć tylko, jak ciężko przez dwa pokolenia rodził się trybunał koronny, jak niedołężnie obwarowano — za pomocą przybocznego senatu — zgodność polityki królewskiej z wolą narodu, i jak daleko zostały w tyle owe instytucje (trybunał oraz senat) poza swojemi wzorami w literaturze politycznej.

10. Bo też owa literatura jest najsłuszniejszym tytułem naszej chluby: Goślickiego roztrząsano w Anglji, Modrzewskiego w całej Europie zachodniej. Ale jeżeli o pierwszem pokoleniu pisarzy, wśród którego wzrastał obywatel Kochanowski, o Modrzewskim, Orzechowskim, Przyłuskim, można powiedzieć, że 10 — 20% ich idej oblekło się w czyn, to pisarze drugiej generacji: Solikowski, Warszewicki, P. Grabowski, Górnicki, Petrycy, Skarga, unoszą się jak gołębice nad arką państwową, którą potop szlachetczyzny znosi na niebezpieczne rafy.

Dr. Siemieński stwierdził, bodaj nie bez satysfakcji, że w owych czasach nie mieliśmy s t r o n n i c t w i że Polską rządziła umysłowa elita. Pewno że stronnictw w dzisiejszym znaczeniu nie było, chociaż zwolennicy egzekucji za Zygmunta Augusta zasługiwali na tę kwalifikację, i dzięki temu odnieśli częściowe zwycięstwo. Przedtem i potem bywały fakcje, nie dorastające do poziomu stronnictw, dążące do przelotnych celów, a nie zdolne do budowania państwa. Lecz cóż po takiej elicie, gdzie każdy pisarz inne głosi słowo, gdzie czynni politycy nietuzinkowej miary, jak Zamoyski, Karnkowski, Myszkowski, Herburt, Sienicki, stoją w różnych obozach i ciągną jeden w prawo, drugi w lewo? Elita wyjałowieje, literatura porośnie kurzem bibjotecznym, a kłótnie zostaną, reformy zaś z całą kulturą polityczną rozniesie — *tempestas*. Czy nie wynikałoby stąd, że dla pielęgnowania kultury politycznej przyda się polityczna organizacja?

11. Zmierzamy do wniosków niewesołych, a w każdym razie dalekich od jubileuszowej radości. Jeżeli żądać od kultury politycznej czegoś więcej, niż błyskotliwych idej oraz interesującej elity, to nam w dobie Kochanowskiego, sporo brakowało do doskonałości. Całe szczęście, że owa doba pozostanie epoką duchowego postępu i rozkwitu, choćbyśmy stwierdzili, że jej kultura polityczna stała niżej, niż literacka i artystyczna; to samo można powiedzieć o czasach Mickiewicza. Ale w obydwu tych okresach ratował nas czynnik, który można zaliczyć, jak kto chce, do dziedziny polityki lub moralności, czynnik zwany *l'esprit publique*. Nikomu wówczas nie przechodziło przez głowę — chwalić apolityczność i apatję. Obywatel był czujny, odporny i odpowiedzialny. Jeżeliśmy przetrwali po Jagiellonach wśród ciężkich zmagań wewnętrznych cztery lata sieroctwa, jeżeli później Polska żyła wieki w najniemożliwszym ustroju konstytucyjnym, to zawdzięczać należało tę trwałość nie urządzeniom, ani zwyczajom, ani pojęciom, ani nie kulturze polityczno-intelektualnej, odziedziczonej po Złotym Wieku, tylko czujności i patrjotyzmowi szerokich rzesz.

Kraków WŁADYSŁAW KONOPCZYŃSKI

SPOŁECZNO-POLITYCZNE IDEJE SŁOWACKIEGO W DOBIE MISTYCYZMU

I.

PISMA GENEZYJSKIE: „KOPERNIKOWY SYSTEM DUCHOWEGO ŚWIATA“ JAKO PRZEDMIOT MISJI MESJANICZNEJ POLSKI

PRĄDY mistyczne, przepływające okres romantyczny, mają charakter mesjaniczny; zwiastując nową, wyższą epokę ludzkości, przez to samo musiały dotykać spraw społeczno-politycznych. Duch religijny romantyzmu kojarzy się tu z duchem społeczno-reformatorskim, przekazanym przez schyłek 18-go wieku. Wielka Rewolucja francuska, obalając jednym zamachem wiekowy porządek rzeczy, zarówno jak „cud“ napoleoński, budzą wiarę w możność i bliskość nagłego przemienienia świata, rys adwentyzmu wyciska piętno na całej epoce [1]). Tęsknota adwentystyczna wygląda parakleta, mesjanizm potrzebuje mesjaszów [2]).

Toruje im drogę powszechna w tej epoce wiara w szczególną rolę wielkich ludzi, kult genjusza na model napoleoński. Powstaje ich — zwłaszcza we Francji ówczesnej — cały szereg. Co prawda, los — wielki ironista, zadrwił nieraz okrutnie z owego utęsknienia ludzkości, wydobywając na powierzchnię mesjaszów dziwnego nabożeństwa: paranoików, półobłąkańców lub obłąkanych pychą urojonego posłannictwa, oszustów i półoszustów specjalnego mistycznego typu, „wicebogów“, „Chrystusów drugiego przyjścia“, „wielkich kapłanów“, druidów, „wielkich ojców“, proroków i t. p. [3]). Z drugiej strony zaszczepione przez Wielką Rewolucję pojęcie suwerenności ludu, również jak rozwijający się nacjonalizm, tworząc jakoby osobowość zbiorowisk ludzkich, nie bez wpływu zresztą tradycyj biblijnych o „ludzie wybranym“, [4]) rodzą „mesjanizm zbiorowy“, w którym rolę parakleta obejmują narody lub klasy społeczne [5]). U nas kombinują się oba typy: obok „mężów epoki“ — jak Wroński i Towiański — rolę mesjaniczną „ludu wybranego“ przyjmuje naród polski. Polska staje się „Chrystusem narodów“, Chrystusem pojętym nietylko w sensie religijno-moralnym, ale i w charakterze reformatora porządku społecznego i politycznego. Chrześcijaństwo stworzyło dotąd moralność indywidualną, nowa jego faza ma tę moralność rozszerzyć na stosunki między narodami. W ten sens mówił Mickiewicz w swych wykładach. Polska przez samo swoje męczeństwo wskazana jest na głoszenie tego hasła. W tym też sensie pisał Krasiński (do Słowackiego, 26 stycznia 1843 r.) że w dobie obecnej „Polak“ znaczy więcej niż „katolik“, bo przy Polsce jest podniesienie praktyki Chrześcijaństwa o jeden stopień, poddanie mu nowych obszarów życia moralnego, zrealizowanie przeto „powszechności“ Chrystusowego Kościoła. Ta słuszna i żywotna forma mesjanizmu polskiego nie ma w sobie nic mistycznego, — cech mistycznych nabiera dopiero wtedy, gdy rozbiór Polski pojęty jest nie jako wynik faktów historycznych, ale jako szczególne, wolą (i łaską) Bożą nałożone na lud wybrany krzyżmo posłannictwa. Skąd niedaleko już do skrajnie mistycznej i zgoła irracjonalnej a dekadenckiej koncepcji ofiary niewinnej i biernej, potrzebnej dla sprowadzenia królestwa Bożego, w duchu mistyki krwawych ofiar St. Martina, Ballanche'a i de Maistre'a.

Mesjanizm narodowy Słowackiego wchodzi już w dziedzinę mistyki, ale nie przybiera cech dekadenckich. Odrzuca on wyraźnie ideę biernej ofiary. „Biada wam, którzy sobie wmawiacie, że krzyżem podobni jesteście do Chrystusa, niepomni na to, że Chrystus niewinnie, owszem wolę swoją zgodziwszy z wolą Ojca, na krzyżu cierpiał za narody... Owszem podobni jesteście do sług, którzy rozkazu Bożego nie wykonali, kościołów, w którychby świętość ducha ludzkiego mieszkać mogła— nie postawili, pracy się wyrzekli, oczekiwanie serc ludzkich zawiedli“... („Do emigracji o potrzebie idei“). Polska ma do spełnienia misję pewną, przez Boga sobie przeznaczoną, a nieszczęścia jej są dociskiem Bożym, który z niej ma wydobyć siłę duchową potrzebną do apostolstwa. „Gdyby albowiem nie ukrzyżował, nigdybyście ogromnego głosu nie usłyszeli w duszach waszych“ („Ewangelja prawdy“) [6]).

---

[1]) Zob. moją „Mistykę Słowackiego“ (Lwów 1909) rozdz. trzeci, XI. Przypomnę tu słowa de Maistre'a, że „niema zapewne w Europie jednego człowieka.. któryby nie wyczekiwał w tej chwili czegoś nadzwyczajnego“. „Czy można bagatelizować taki fakt powszechnej zgody? Jestże niczem to wołanie powszechne, zwiastujące wielkie wypadki?.“ W listach Z. Krasińskiego powtarza się nieustannie ten sam motyw. Oczywiście tem głośniejszy jest on u mistyków.

[2]) Poetycka wizja przyjścia parakleta u Słowackiego w liście do Stattlera, (Listy III str. 299).

[3]) Zob. „Mistyka Słowackiego“ rozdz. trzeci, II, XI, gdzie wymieniono cały szereg tych mesjaszów; — późniejsze przyczynki do tego inwentarza w dziełach Kleinera i Grabowskiego o Julj. Słowackim, — u Kallenbacha: „Towianizm na tle historycznem“ (Kraków 1926) str. 3 — 25, a zwłaszcza u J. Ujejskiego, w artykule szczególnie ważnym ze względu na stosunek do towianizmu: „Naundorf, Vintras i Towiańszczyzna“ („Pam. lit.“ 1928, zeszyt III) Co do kultu genjusza w owej epoce zob. „Mist. Słow.“ rozdz. trzeci, II; zupełną doktrynę o genjalności i kulcie genjusza wypracował romantyzm niemiecki; Mickiewicz wielkie duchy policza do świętych, mówiąc w lekcji z 23 stycznia 1844 r. o litanji do wszystkich świętych,—Słow. podobnież w „Kazaniu na dzień Wniebowstąpienia Pańskiego“; — zob. też Emersona „Reprezentanci ludzkości“ i Carlyla „Bohaterowie“. — Jak chętnie modelowali się „mężowie epoki“ na Napoleonie, ciekawym przykładem *allury* napoleońskie Towiańskiego i Wrońskiego!

[4]) „Ludem wybranym“ Starego Zakonu wedle pojęć chrześcijańskich był ten, z którego miał wyjść Zbawiciel świata. Tak samo mesjanizm romantyczny za lud wybrany uważał ten, który miał misję mesjaniczną wobec ludzkości. W pojęciu judaistycznem ludem wybranym był lud cieszący się — dla szczególniejszego gustu Jehowy — jego specjalnemi względami. Jest to różnica zasadnicza.

[5]) W mej „Mistyce Słow.“ rozdział trzeci, XI, rozwinąłem pojęcie mesjanizmu zbiorowego i podałem jego przykłady. Polski mesjanizm narodowy nie był wcale unikatem jak sądzono dawniej, ale ma liczne analogje.

[6]) Utwór ten, któremu daję tytuł „Ewangelja prawdy dla braci naszych“ znany był dotąd pod niewłaściwym (przez Tretiaka nadanym mu) tytułem „List apostolski“: (lwowskie wyd. zbiorowe pism J. Słow., przez Gubrynowicza i Hahna, Lwów 1909, tom X opracowany przez Gubrynowicza str. 147 i n.). Tytuł ten uzasadnię w przygotowanem przezemnie dla „Bibljoteki Narodowej“ wydaniu pism genezyjskich J. Słow. I co do innych utworów genezyjskich Słow. podawać je tu będę, pod właściwemi tytułami, nie chcąc utrwalać błędów dotychczasowych wydań; — cytować je będę podług wydania lwowskiego, Gubrynowicza i Hahna (skrót: Gubr.).

Ale jaka jest treść tej misji?

Dla towianizmu, z którego wywodzi się mistyka Słowackiego, podstawowem zagadnieniem było udoskonalenie wewnętrzne jednostki. Sama treść doktryny stoi jakoby na dalszym planie. Dwa pisma, które ją rozwijają: „Biesiada“ i „Wielki perjod“, zdają się być usunięte w cień ezoteryki — może nawet nie każdemu z braci wiadomej. Adepta w każdym razie nie pouczało się o tem, przyjmowało się go nie przez akces jego do przedstawionej mu doktryny, ale na podstawie obudzenia w nim, względnie odnalezienia, wspólności „tonu" duchowego; — „kto na ton nie odpowiada, słów temu nie dawać"... (Mick.). Inicjacja odbywała się przez „zapalenie iskry świętej bez doktryny“, mówi wyraźnie sam Towiański. Naczelnym zaś dogmatem jest związek człowieka ze światem duchów bezcielesnych, od których pochodzą wszelkie natchnienia i pobudki. Drugi z rzędu dogmat jest ten, że rozpasanie rozumu i rozpasanie brzucha jest to jedno i to samo; miejsce rozumu ma zająć „organ chrześćjański — czucie", które sprowadza się ostatecznie do natchnień, odbieranych z zaświata[7]). Z tego widać, że istota towianizmu krystalizuje się właściwie w metodzie odbierania natchnień, podobnie jak „Yoga“ braminów indyjskich. Kto ma otwartą drogę do samego źródła wszelkiej wiedzy, czyż potrzebuje jakiejś nauki?... „Jeśli zaś rzeczesz jeszcze: ucz"ie mię Upaniszadów, toć odpowiemy: nauczony jesteś Upaniszadów“, — mówi Kena — upaniszad — Sama Wedy... Trzeba jednak dodać, że tego rodzaju inicjacja, wzbudzając wiarę w nieomylność tego rodzaju poznania a zarazem cześć dla inicjującego jako wyższego narzędzia duchowego świata, czyni adepta podatnym do przyjęcia wszystkiego, co mu przez pośrednictwo tego wyższego narzędzia, „urzędu Sprawy Bożej“, z onej górnej sfery podane zostanie.. Najwyższe objawienia prawdy zostają w ten sposób jakoby zetatyzowane...

Trzeci wreszcie dogmat — to doskonalenie się duchów w szeregu żywotów; i tu chodzi o doskonalenie się indywidualne. Społeczny pierwiastek stoi w cieniu a przynajmniej doktryna nie mieści w sobie żadnego społecznego czy politycznego programu. To też widzimy towianizm lawirujący między carem Mikołajem, Chrystusem a Pankracym z „Nieboskiej“[8]).

U Słowackiego te podstawowe dogmaty towianizmu pozostają w mocy, z tą różnicą, że odpada owa praktyka yogi[9]) a zależność od świata duchów — nadająca towianizmowi rys fatalizmu[10]), ulega redukcji. To nie narusza jednak zasady każdej mistyki, że wszelkie poznanie prawdziwe płynie z góry, a rozum jest tylko narzędziem do rozstrzygania spraw ziemskich. Te dwa rodzaje poznania noszą u Słowackiego — jeden — rozumowy—zapożyczoną od Russa nazwę „opinji“, drugi „wiary widzącej". Tę wiarę widzącą określa Słowacki w ten sposób — że nie dlatego wie, że wierzy, ale dlatego wierzy, że wie; moment poznania wysunięty jest przytem na czoło[11]). Podczas gdy towianizm w pracy wewnętrznej szukał natchnień dla postępowania, Słowacki — oderwany od realnego życia samotnik — marzyciel — cofa się jeszcze głębiej w życie czysto wewnętrzne, sprawę mistycznego poznania czyniąc punktem centralnym swych zainteresowań. Tak jak w towianizmie, i u niego związek przygotowującej się w duszach wybranych Sprawy Bożej ze sprawą polską, jako sprawą polityczną, jest pośredni i wyraża się najlepiej w sensie przypowieści, zamykającej pismo „Do Emigracji o potrzebie idei“: trzeba się doskonalić, aby być gotowym[12]). U podstaw sprawy narodowej leży poprawa dusz, przyczem jednak — jak to wyraźnie z powołanej przypowieści wynika— rolę szczególną w tej poprawie przypisuje Słowacki momentowi poznawczemu, poznaniu prawd złożonych w nauce genezyjskiej. Na indywidualne doskonalenie się kładzie on tak wielki nacisk, że w piśmie do Koła, usprawiedliwiającem swoje z niego wystąpienie. między innemi zarzutami podaje i ten, że w Kole „grać zaczyna struna polityczna“... Kiedy i jak wypadnie sprawę niepodległości podnieść — to Bóg jeden tylko raczy wiedzieć; o jakimś programie działania mowy niema. W liście do matki z dn. 18 marca 1843 czytamy o „braciach“: „...oni według myśli Pańskiej tworzący w sercach swoich nową ojczyznę, gotowi na wszystko. ...Lecz Bóg pokazuje im tylko pracę dnia każdego a na każde jutro zarzuca zasłonę. Kto więc pyta się tych ludzi: cóż wy zrobicie? nie otrzyma żadnej zaspokajającej rozum jego odpowiedzi“.

Nacisk na stronę poznania w sprawie poprawy dusz, wyróżniający — jak powiedziałem — Słowackiego od towianizmu, stoi w związku z tem, że strona doktrynalna, treściowa, jest u niego daleko silniej, szerzej i jaśniej rozwinięta, niż u Towiańskiego. „Trzeci dogmat“ Towiańskiego, doskonalenie się dusz w łańcuchu metempsychozy,

---

[7]) Zob. u Szpotańskiego „Adam Mickiewicz i jego epoka“ w Aneksach, nr. IV. zapiski Wolskiego i i. braci.

[8]) Wstrząsający obraz zmagań się wewnętrznych Mickiewicza daje Krasiński w listach do p. Delfiny u Kallenbacha l. c.

[9]) W piśmie do Koła, usprawiedliwiającem swoje z niego wystąpienie, zarzuca Sł. praktykom Koła, że wywołują nieprawdziwe natchnienia, sztuczną egzaltację (Gubr. X str. 314 i n.), — gdzieindziej (Raptularz: Gubr. X str. 337—338) mówi o „knucie ducha“ wciąż tę egzaltację podniecającym, przyprowadzającym duchy do stanu helotyzmu, pozbawiającego je wszelkiej godności ludzkiej i wszelkiego podobieństwa z wizerunkiem Chrystusa Pana; — w wierszu „Matecznik“ (Gubr. I str. 14) maluje krwawemi barwami histerję sekciarską towianizmu.

[10]) Fatalizm zarzuca Sł. towianizmowi w uwadze, zapisanej w Raptularzu (Gubr. X str. 373 — 374) a zwróconej przeciw Mickiewiczowi. Pogląd Sł. na stosunek do świata duchów ulega zresztą ewolucji; porównaj wczesne pismo genezyjskie „Rozmowę pierwszą z Helionem i Helois“ w jej pierwszej redakcji (w czasopiśmie „Lamus“ III, rok 1911/12 str. 224 i n., ogłoszone pod tytułem „Urywek z Wykładu Nauki“) z „Listem do Rembowskiego“ (Gubr. X str. 249), gdzie powiedziano tylko: „zostawmy sumieniom ludzkim, by one w sobie tajemnice związku z duchowym światem odkryły...“

[11]) „Nie rozum — ale potęga ducha, która rozsądzone (t. j. przez rozsądek przyjęte) rzeczy czuje — uczute rozsądza. Teraz rozum jest to myśl nauczona pewnych prawideł“. (Dziennik z lat 1847 — 1848). Sł. ambicjonuje, że wszelkie prawdy poznane drogą „czucia“ wytrzymują próbę ścisłej logiki. Natchnień odbieranych zgóry nie odnosi przytem Sł. wyłącznie do świata duchów jako koniecznych pośredników między Bóstwem a człowiekiem — jak to czyni towianizm, ale przyjmuje je jako niezależne od tego pośrednictwa, jakkolwiek go nie wyklucza. O „rozpasaniu rozumu“ u niego niema mowy, ale tylko o niedostateczności tego organu.

[12]) O tej przypowieści zob. niżej pod koniec tego rozdziału. Porównaj też zapiski w Raptularzu: „Nie abstrakcyjna kwestja ludzkości, ale kwestja człowieka, — ta rozwiązana rozwiąże drugą“. „Polacy dziwią się, że tego zadania: co to jest Polak, rozwiązać nie mogą; nie dziw — bo jest to lud przeznaczony wprzód rozwiązać zadanie człowieka“.

wypracowany tu został w system „nauki genezyjskiej“, stanowiącej doskonale rozwinięty światopogląd. Ten światopogląd ma charakter kosmogoniczny. Sama nazwa nauki od tego rysu pochodzi — a za pismo podstawowe — „najważniejsze ze wszstkich“, jakie kiedykolwiek Słowacki napisał, podaną jest „Genezis z Ducha“, której treścią są dzieje stworzenia, kończące się stworzeniem człowieka. Jeśli więc szukalibyśmy tu jakiegoś programu społeczno-politycznego, to zaiste dość głęboko, bo aż w samym zarodzie globu tkwią jego korzenie!

A jednak... w rzeczy samej tkwią one tam' a korzeniem społeczno-politycznej koncepcji nauki genezyjskiej jest powszechne prawo postępu.

Duchy, zamknięte w materji, własnem pragnieniem, wolą i ofiarą obmyślają i wysługują sobie kształt nowy, w którymby duch sposobniejsze dla siebie znalazł narzędzie a przez to samo mógł się wyżej rozwijać. Ta ewolucja kształtów, to nieustanna „genezis“ — dokonywana przez ducha i dla duchu. Poczyna się ona w naturze nieorganicznej i dochodzi do człowieka (o tem uczy pismo „Genezis z Ducha“). Kształt ludzki jest tak doskonały, że na długo wystarczy duchowi przy podnoszeniu się wyżej. Ta dalsza ewolucja ducha odbywa się tedy w historji ludzkości i polega na coraz to wyższych rewelacjach prawd religijnych i moralnych (o tem uczy „Trzecia Rozmowa z Helionem i Heiois“). Ustroje społeczne są z jednej strony owocem tego duchowego postępu, z drugiej jego narzędziem, stwarzają bowiem dla ducha warunki dalszego rozwoju. Epoki i narody podejmują na tej drodze „genezyjskiej” właściwe sobie zadania. Takie zadania ma więc także i Polska. Dziwna rzecz jednak, że w pismach, składających system nauki, tam gdzie właśnie przychodzi do tego punktu (a sposobność nadarza się kilkakrotnie), tekst się urywa... Tak jest w Rozmowach z Helionem i Helois (redakcja 1-sza) trzykrotnie: w Rozmowie pierwszej, gdzie zaczyna się rzecz o celach finalnych, do których „przez Polskę droga prowadzi“, — w Rozmowie drugiej, gdzie Helion wyraźnie pyta mistrza o ustroje społeczne, — w Rozmowie trzeciej, gdzie ma nastąpić rewelacja żywota Heliona w Polsce... Tak samo w późniejszych pismach genezyjskich, w drugiej redakcji Rozmów i w Liście do Rembowskiego [13]). Czy sa to naprawdę tylko zadziwiające, bo zawsze w tem samem właśnie miejscu występujące defekty, czy coś więcej? — Podobnie ma się rzecz w „Królu Duchu“. Tu spodziewalibyśmy się zgóry jakiegoś określenia idei narodowej, którą rozwija i spełnia „Król Duch“ w szeregu żywotów. Nic podobnego! W Rapsodzie IV objawione zostają Mieczysławowi w „snach anhellicznych“ prawdy genezyjskie, kosmogoniczne (pieśń III, strofa 7—11). A potem przesuwają się przed nim w widzeniu proroczem „aniołowie ludów“ każdy z odpowiadającym mu symbolem (tamże, strofa 25—34). Jedenasty — po którym przechodzi tylko jeszcze jeden, „nieznany“— jest anioł Polski, ubrany „w pokorę i mądrość“ — „w ręku nic, tylko trzymał złote zboże — I karmił, wiatrem ku ziemi przywiany“... Przygięty jest więc ku ziemi wiatrem nieszczęść, a ma być karmicielem ludów — niosąc im pokarm ducha. Pokarmem tym są niezawodnie prawdy genezyjskie, o czem świadczy i słowo „mądrość“.—W starszej redakcji Rapsodu III, w „Księdze Legend“, mowa jest o przedwiekowych przeczuciach powstania narodu polskiego:

Lud taki wstanie — mówili prorocy
Co wszystkie ludów napełni skowrody
Miodów słodyczą,.. którego duchowi
Dano — że słońce złote zastanowi..,

Znaczy to, że lud ten prawdy Kopernikowe odkryje... Ale przez te prawdy Kopernikowe rozumie się nietylko „zatrzymanie słońca“, to jest stworzenie heliocentrycznej syntezy świata fizycznego, ale i stworzenie syntezy psychocentrycznej w panpsychicznej nauce genezyjskiej, że „wszystko przez ducha i dla ducha stworzone jest, a nic dla cielesnego celu nie istnieje“.

O tem podwójnem „dziele Kopernikowem“ mowa jest wyraźnie kilkakrotnie. I tak w jednym z projektów przedmowy do „Genezis z Ducha“ czytamy:.... „albowiem poraz drugi to, co między gwiazdami było jednością — dziś w świecie duchowym objawia się zarodem wiedzy nowej i porządku nowego“. A znaczenie tego drugiego kopernikowskiego odkrycia wyższe jest od pierwszego. Oto dedykacja jakiegoś utworu, prawdopodobnie „Genezis Ducha“[14]) Towiańskiemu, któremu zrazu przypisywał zasługę tego odkrycia, póki nie zawiódłszy się na nim, nie przeniósł tej zasługi na siebie: „narodu mego proszę o uwagę dla człowieka, który słowa, że wszystko przez ducha i dla ducha stworzone jest wyrzekłszy — podobnie jak Kopernik, a więcej jeszcze, bo nie świat

[13]) „Rozmowy z Helionem i Helois“ — (redakcja pierwsza): Pierwsza Rozmowa: „Lamus“ III str. 224 i n. pod tytułem „Urywek z Wykładu Nauki“,—Druga Rozmowa: Gubr. X str. 159 i n. pod tytułem „Wykład Nauki I“, — Trzecia rozmowa: Gubr. X str. 194 i n. pod tytułem „Wykład Nauki II“. Redakcja druga „Rozmów“ (odpowiadająca tylko Pierwszej Rozmowie pierwszej redakcji) u Gubr. X str. 529 jako „pierwsza redakcja Listu do Rembowskiego“; „List do Rembowskiego“ Gubr. X str. 225 i n. Ustępy, o których mowa w tekście, znajdują się na końcu każdego z tych utworów. Wyjątek od tej reguły, o której w tekście mowa, stanowi poniekąd fragment, wydany przez Gubr. w „Lamusie“ (III str. 248 i n.) p. t. „Urywek o Ojczyźnie“. Fragment ten jest niewątpliwie końcową częścią Rozmowy I, tak jak ją znamy z redakcji pierwszej, jakkolwiek być może w opracowaniu innem od tego, którego początkowe części posiadamy. Z pomiędzy ustępów pism genezyjskich, które mówią o mesjanicznem posłannictwie Polski, jest to ustęp najważniejszy. Jeśli jednak idzie o treść tego posłannictwa, to zamyka się ona w tem tylko zdaniu: „Któryż naród po Chrystusie spróbował być wyobrazicielem Słowa Bożego na ziemi?... Zaprawdę, Helionie, my, w przodkach naszych jużeśmy tego próbowali i zostawiliśmy wielkie formy duchowej Rzeczypospolitej, w której jeden duch najświętszy mógł jednem zaprzeczeniem cofnąć całe Jordany toczącego się materjalizmu“... Chodzi oczywiście o *liberum veto*, ale rozwinięcia bliższego tej myśli niema.

[14]) O tem w rozprawie mojej „Chronologja pism genezyjskich“... („Pam. lit.“ 1927), gdzie w przypisku podałem w całości tę dedykację, przypuszczając przytem mylnie, że dotąd ogłoszoną ona nie była; faktycznie była ogłoszoną po raz pierwszy jeszcze przez Małeckiego. Że to przeoczyłem lub zapomniałem, pochodzi stąd, że i Małecki i późniejsi łączyli ją zawsze z innym utworem — a to z wierszem „Góry się ozłociły“. Ostatnio Pigoń („Z epoki Mickiewicza“ 1922, str. 361 i n.) powtórzył to samo, poświęcając temu wierszowi szczegółowe studjum. Prostując to przeoczanie, niemniej uważam w dalszym ciągu za daleko prawdopodobniejsze moje przypuszczenie, że dedykacja odnosi się do „Genezis z Ducha“. Dla rozprawy niniejszej jest to obojętne, przeto rozwodzić się tu nad tem nie będę, stwierdzę tylko (co już zaznaczył i Gubrynowicz przy wydaniu z autografu pomienionego wiersza w „Pam. lit.“ z r. 1909), że autograf dedykacji, znajdujący się w Biblj. Ossol., napisany jest na luźnej kartce i nie zawiera żadnej wskazówki, do czego dedykacja się odnos

fizyczny ale świat wiedzy syntetycznie zatrzymał i postawił". A przyprowadzenie tej filozofji ducha do jedności, „to jest do formuły jednej, a tak prostej jak owo w systemacie gwiaździarskim: słońce stoi, a świat się obraca, — będzie ogromnym krokiem w sprawie rewolucyjnej świata nowego".

Tak samo ważne to jest dla sprawy polskiej. W jednym z djalogów zapisanych w Raptularzu mowa jest o tem, jak przyszli do mistrza „ludzie dobrej woli cieleśnie, ale w duchu leniwi i rzekli mu: Słyszeliśmy, że idziesz z braćmi wojować za ojczyznę słowy i czynem — weź nas, pójdziemy z tobą.... A on odpowiadając im zapytał: A wiecież wy, kto świat stworzył? — Roześmiali się i powiedzieli: Bóg z niczego świat stworzył i wszystko, co na nim jest. — A on przeżegnawszy je krzyżem rzekł: idźcież teraz do domu a czekajcie, aż kto was tego nauczy... Bo gdybym wziął was, to oto w największej godzinie czynu i pośpiechu rzucilibyście broń—a zapytali—przez kogo Bóg stworzył świat, jak i dlaczego? — Jeszcze was czeka na drodze godzina rozwagi i godzina zwątpienia"... Zwątpienie o celu i sensie świata odbiera wolę do czynu, tak samo jak pozostawia bez steru życie moralne. Jest to ta sama myśl, która w innem ujęciu przenika także Rapsod I „Króla Ducha".

W ten sposób teza, że „wszystko przez ducha i dla ducha stworzone jest, a nic dla cielesnego celu nie istnieje", teza, na której opiera się kosmogonja genezyjskiej nauki, związana zostaje ze sprawą polską... A także i druga teza nauki genezyjskiej, metempsychoza oddana zostaje w służbę tej sprawy. Bo tylko poczucie nieśmiertelności, jakie daje wiara w metempsychozę, stwarza bohaterów. Tak odwaga Achillesa, ukąpanego dzieckiem w wodzie Styksu, pochodziła z poczucia nieranności:

„Nieranność Achillesa, a stąd jego dzielność
Jest to uczuta w duchu wielkim nieśmiertelność".

A jeśli apostolstwo nauki genezyjskiej stanowi misję mesjaniczną Polski a zarazem o jej własnem istnieniu rozstrzyga, to dlatego, że ta nauka jest rodzimą polską, z ducha polskiego wysnutą. „Głosząc ideę jedności duchowej — czytamy w jednym z projektów przedmowy do „Genezis z Ducha" — przekonany jestem, że obudzoną w duchu moim nagle wiedzę i wiarę przodków moich tłumaczę, — wiarę, która w duchu na kształt przeczuć instynktowych leżąc[15]) — w czynach się wielkich i poświeconych Bogu objawiała, — wiedzę, która stare Polaki przed Europą zdziwioną ubierała niby w poważną filozofów szatę... a korony Zygmuntów dziwnie podobnemi do Salomonowych z liljami i perłami koron czyniła"... Świat głuchy jest jeszcze na to, o czem już wiedzą w głębokich pokładach swej duszy dzieciątka polskie...

Pewne poczucie paradoksalności tych pomysłów nie było obce Słowackiemu. Z jednej strony cały ów zamęt i rozgwar sporów emigracyjnych, zabiegów dyplomatycznych, konspiracyj rewolucyjnych, które otaczały sprawę polską — z drugiej teorja kosmogoniczna, zaczepiająca o ostateczne, najwyższe zagadnienia bytu, świecąca z nieskończonej jakoby przestrzeni światłem spokojnem gwiazd dalekich, chłodnych i tajemniczych. A w tej to strefie, wbrew hałasom i rozgwarom, miała rozwiązanie swoje mieć sprawa polska!.. Zaiste „dziwem świata" stać się musi „ten naród, który pozbawiony ojczyzny aż do niebios poszedł po żywot i ojcostwo Boże nad narodami, a natchnienie jako z ręki Boga otrzymał"[16]). — Ta paradoksalność jednak dodawała tylko idei tej w oczach poety uroku. Pewne tendencje barokowe, ujawniające się w paradoksalnych kojarzeniach, nie obce były zdawna Słowackiemu. Wystarczy przypomnieć „Piasta Dantyszka" lub „Balladynę". Tendencje te wystąpiły wyraźniej i nabrały właściwego charakteru w ostatnim okresie twórczości. Cechą ich jest zestawienie pierwiastków rubaszności i anhellizmu w malowaniu rzeczy polskich. Kiedy w „Grobie Agamemnona" grzmiał ponad wszelką miarę przeciw czerwonemu kontuszowi i pasowi złotemu na rzecz klasycznej nagości, kiedy w przedmowie do „Piasta Dantyszka" użalał się, że kontusz jego nowego Danta krępuje go, nie pozwalając pogłębić wielu myśli, później — ów złoty pas przemienia mu się w oczach w tęczę, strój dawny wydaję mu się „poważną filozofów szatą", a w Księdzu Marku, Gruszczyńskim, Złotej Czaszce, powłoka rubaszna już go nie razi jako przeciwieństwo „duszy anielskiej", ale staje się dla niej właściwą, dziwnie malowniczą szatą... — Ten barokowy rys kontrastowej paradoksalności znajduje swoisty wyraz w „Samuelu Zborowskim", a zwłaszcza w scenie procesu toczącego się w niebie. Przed sędzią niebieskim stają dwaj szlachcice polscy i adwokat w stylu staroświeckiego palestranta; oskarżyciel jako *corpus delicti* niesie w ręku własną uciętą głowę. A dalej mowa jest o misji Polski, która poprowadzi „sto tysięcy, miljon Chrystusów"—„na koniach, jaśniejszych od słońca" — do szturmu na Jeruzalem słoneczną — to jest na zdobycie i ściągnięcie na ziemię Królestwa Bożego. (Końcem bowiem ostatecznym postępu genezyjskiego jest dorośnięcie dusz ludzkich do wysokości Chrystusowej natury, ich „uchrystusowienie"). A tych konnych Chrystusów, którzy w szturmie mają wziąć miasto święte, wyobraża sobie bodaj poeta w skrzydłach husarskich lub może w kontuszach opasanych słuckim pasem tęczy! — Tak więc jak rubaszność z anhellizmem — kojarzy się też w duszy Słowackiego ziemska rzeczywistość polska, a w szczególności emigracyjna, z oderwanemi koncepcjami genezyjskiej kosmogonji, eschatologji i soteriologji. Ci wąsacze i rębajły, wlokący za sobą bolesną żmudę wygnania i nieutuloną tęsknotę za ojczyzną, ale zarazem harmider polskiego sejmikowania, przefrancuziony republikancko-rewolucyjną frazeologją, ukazywali się wewnętrznemu wzrokowi poety jako „Anioł *veto*", protestujący wobec świata przeciw ciemiężycielom wolności i noszący w duszach podświadomie prawdy genezyjskie o wszechwładztwie ducha, rewelację nowej ery ludzkości!

(D. c. n.) JAN GWALBERT PAWLIKOWSKI

[15]) Należy zwrócić szczególną uwagę na to, że chodzi tu o instynktowe poczucie prawd, które jakoby spoczywają uśpione w podświadomej sferze ducha, a jednak ujawniają się już jakby jakimś refleksem świadomości na zewnątrz. To podświadome poczucie wywiera też wpływ na sferę woli, więc i czyny. Rewelator nie czyni nic innego, jak tylko uświadamia prawdy w podświadomości narodu leżące; aby mógł to uczynić, musi korzeniami duszy tkwić w duszy swego narodu, być krwią z jego krwi i kością z kości.

[16]) Z przedmowy do „Genezis z Ducha"; Gubr. X, 161

NA WIDOWNI

Epidemja głupoty i kłamstwa. — Kto ją szerzy i po co? — Eros internacjonalny i handel żywym towarem narodu. — Rola literatów polskich. — Foch i Ford. — Rozmowy poległych od kuli i od samochodów. — Jakie oferty można już Polsce składać. — Dlaczego „sanacja“ chce mieć wolną rękę?

JAKIEŚ tajemnicze siły pracują w Polsce nad tem, aby w tym kraju człowiek pozbawiony był zmysłu samozachowawczego i rozsądku. Nigdy i nigdzie uśmiechnięta głupkowatość nie paradowała publicznie z taką bezczelnością.

Weźmy pierwszy lepszy przykład z brzegu: Zjazd P.E.N-klubów. Odbywa się on w Warszawie z wielką paradą dzięki nieprzebranej na takie cele szczodrobliwości polskiego skarbu. Kilka dni na koszt obywateli, składających — przy energicznej pomocy komorników — podatki, trwa bankiet, na którym raczy się od rana do nocy jakąś setkę bliżej nikomu nieznanych literatów z zagranicy i drugą podobną polskich miłośników literatury międzynarodowej. W przerwach między jedną zastawą a drugą członkowie kongresu „obradują” nad tem, jakiby temat wymyśleć do dyskusji, ale nikt nic wymyśleć nie może. Więc jeden w kółko toast: Kochajmy się!

Istotnie zadanie trudne: p. Kaden-Bandrowski, specjalista od wynajdywania „żywotnych” zagadnień literatury, rozwiązywanych zapomocą nagród, subsydjów i pensyj, był zapewne autorem wniosku, aby uprosić Ligę Narodów o 100.000 franków szwajc. na nagrodę doroczną za najlepszy romans pacyfistyczny. Tłem psychologicznem powieści ma być miłość między narodami, doprowadzona do perwersji.

Eros internacjonalny uprawiają z upodobaniem żydzi, którzy na kongresie P.E.N-klubów reprezentowali prawie wszystkie kraje świata, a pozatem swój własny naród w dwu grupach. „Wiadomości Literackie” w numerze „*Pologne Litteraire*” (propaganda!), poświęconym zjazdowi, wystąpiły z artykułami powitalnemi w języku hebrajskim i w żargonie, co nawet w naszych stosunkach wywołać musiało pewną sensację. Daremnie wczytywaliśmy się w sprawozdania z kongresu, chcąc wyłowić jakikolwiek motyw, któryby usprawiedliwił potrzebę kongresu, fatygi ciała dyplomatycznego i rządu polskiego, a nadewszystko wydatku skarbowego, który wyniósł conajmniej ćwierć miljona złotych. Pan Kaden Bandrowski w dzienniku urzędowym z naciskiem utrzymywał, że chodziło o coś więcej, niż o „propagandę“ (to znaczy reklamę dla Polski), chodziło mianowicie o miłość. Cudzoziemcy zapewniali przy kieliszku, że bardzo Polskę pokochali. Sprawozdawca podniósł zwłaszcza dwie atrakcje: bardzo się podobały dorożki konne w Warszawie, a powtóre — r a d o ś ć ż y c i a w Polsce, nieznana już nigdzie indziej na świecie. Ja osobiście bardzo się ucieszyłem, byłem bowiem pewien, że mi smutno. Tak nie jest. W Polsce jest wesoło, nawet zabawnie. Nieustający mamy bankiet: talerz krąży z rąk do rąk. Nie z obrzydzenia wołamy: be-be! Tak chwalimy sobie radosną twórczość...

Żart na stronę: kto z kogo chce kpić, wmawiając, że kongresy beletrystom są potrzebne? Przecież na kongres taki przybyć mogą albo naiwni literaci, albo udający naiwnych. I w jednym i w drugim wypadku — nie warci zachodu. Bo przecież nawet analfabecie wiadomo, że ze wszystkich zawodów, jakie istnieją, jedynie artyści nie mają żadnego interesu porozumiewania się co do swej działalności. Cała ich siła polega na tem, że są indywidualnościami, a druga ich siła — to miłość dla swego środowiska. Być może penklubista polski, gdy obcy zalecać się zaczną do Polski, sam się do niej przekona. Może, ale narazie rezultatem kongresu jest zmarnowana bez sensu energja moralna i materjalna, a w dodatku: strata człowieka.

Jeden z gospodarzy kongresu, przedstawiciel polskiego P.E.N-klubu, nad grobem ś. p. Ejsmonda otworzył ziejące pustką wnętrze owej instytucji, gdy mówił:

> „Nieznane jest w historji zrzeszeń literackich zdarzenie, aby pisarz oddał ukochanemu Związkowi nietylko swą pracę, nietylko swój czas, nietylko swoje myśli, lecz aby oddał mu także swoje życie... Ejsmond umarł, pełniąc służbę pisarza dla sławy piśmiennictwa polskiego, umarł z słowem miłości do ziemi ojczystej na ustach, umarł p r a c u j ą c dla dobra nas wszystkich piszących“...

Mowa powyższa jest klasycznym dokumentem naszych czasów, dyszących żądzą kłamstwa. Mówcy, którego psychoza raz nastawiła na „bujanie“, nie stropi nawet mogiła, nie poczuje potrzeby zastanowienia się nad tem, że ani klub, ani kongres, ani bankiety z żydami i chińczykami, nie mają nic wspólnego z dobrem literatury i dobrem „nas wszystkich piszących“, że wypadku samochodowego na wesołej wycieczce nie można podawać za ofiarę „dla sławy piśmiennictwa“, że uderzając głową o skałę, nie można mieć na ustach „słów miłości“ i t. d. Dawniej uchroniłby słuchaczy od takich wywodów dobry smak literacki mówcy; dzisiaj przed potrzebą kłamstwa ustępują wszystkie względy.

Literatura pełni rolę wychowawczą. Gdyby nie to, masonerja nie zabiegałaby o literatów i nie organizowałaby ich dla celów sprzecznych z interesami życia narodowego. W poprzednim zeszycie „Myśli Narodowej“ słyszeliśmy głos z za grobu ś. p. Maryli Wolskiej, zwrócony do literatek, których te same czynniki używają do propagandy nowych zasad wychowania. Oczywiście marzyć teraz one będą o nagrodzie międzynarodowej Ligi Narodów za powieść pacyfistyczną.

„Panienkom z dancingu“, ogarniętym miłością bliźniego, podsunąłbym śliczny temat powieściowy. Możnaby powieści dać tytuł: „Foch i Ford“. Pierwszy z nich: wcielenie barbarzyństwa czasów minionych bezpowrotnie, duch wojny, duch reakcyjnego nacjonalizmu, bezsensownego patrjotyzmu, duch przesądu, że trzeba bronić swojej cywilizacji i praw do ziemi. Tutaj przedstawić okropności minionej wojny światowej i wątpliwej wartości zysk z niej dla Polski.

Część druga poświęcona będzie Fordowi, który w przeciwieństwie do Focha wyobraża ducha miłości bliźniego, pokoju i postępu. Jakże nam daleko do ideału życia amerykańskiego; tam dzięki Fordowi co piąty człowiek ma swój samochód, który pokonywając przestrzeń, daje ludziom masę czasu, a więc i pieniędzy. Cudzoziemcy na kongresie w Warszawie śmieli się w duszy z naszego konia w dorożce. Bo jakież porównanie: w Polsce ruch samochodowy jest tak mały, że statystyka notuje rocznie zaledwie 2.500 wypadków z ludźmi, podczas gdy w Ameryce na 1 minutę wypadków takich, jak z Ejsmondem, zdarza się 17. W ciągu godziny $17 \times 60 = 1020$, w ciągu dnia i t. d.

Cóż łatwiejszego, jak obrócić te cyfry przeciwko genjuszowi przemysłu i postępu i powie-

dzieć, że samochód morduje w ciągu roku więcej kochanej ludzkości, niż ciężka wojna. Ale czyż śmierć śmierci równa, czyż można porównać haniebną śmierć od kuli z ofiarą, złożoną w służbie postępowi dla sławy kapitału, dla dobra nas wszystkich pracujących i śpieszących się! Dzięki Fordowi zwiększa się z roku na rok suma szczęśliwości ludzkiej, a ileż łez spowodował Foch! A przytem na wojnie giną ludzie w sile wieku; skorzy do zbrodni — to prawda, ale w warunkach pokoju mogliby stać się dzielnymi pracownikami: tymczasem samochód wygniata niedołęgów (z owych w Ameryce czterech na pięciu), niezdolnych do zapewnienia sobie samochodu, przeważnie zresztą kobiety i dzieci. Więc jak można te rzeczy porównywać!

Trzeba jednem słowem tak napisać powieść, żeby czytelnik przeciętny potrochu dogłupił się do poziomu autora. A w następstwie, gdy upatrzone społeczeństwo gotowe będzie na rzeź, jak stado baranów, wtedy ogłosi się znowu „aktywizm" na rzecz bierności i ugody z losem.

Dziwna rzecz, jak kochanej „ludzkości" się śpieszy, żeby Polska istotnie była krajem idjotów i do jak pięknych dochodzi w tym kierunku rezultatów w dziedzinie reprezentacji tego kraju. Cóż to za kwiat taka „sanacja"! Nie sposób przecież posądzać, żeby tam wszyscy udawać umieli paranoję: napewno większość jest tam istotnie durnych. Najistotniejszą rzecz chowa się tam pod korcem — to jest ową Ukrainę. Walka z Sejmem jest zdaje się pozorowana obawą kontroli funduszów. Nikt się tam nie wstydzi złego użycia funduszów, chodzi raczej o to, żeby nie dopuścić do dyskusji w sprawach wojska i polityki zagranicznej.

Oto np., jak wyglądają plany, na które „nabierają" marzycielskich polityków "sanacji". W jednem z pism berlińskich ks. Koczubej puścił dla oswojenia opinji światło na przyszłość Europy wschodniej. W streszczeniu tak to przedstawiają telegramy:

„Autor stara się wytłumaczyć, że dla Polski korzystniejszy będzie dostęp do morza Czarnego, o ileby uzyskała przyłączenie Ukrainy, cierpiącej i tak niesłychanie pod jarzmem sowieckiem. Autor żałuje, że aljanci nie uczynili tego wówczas, gdy to było łatwiejszem, kiedy istniało wojsko ukraińskie. Dziś mogłoby się to dokonać tylko przy pomocy Niemców. Polska winna zawrzeć z Niemcami następującą ugodę: Polska oddaje Niemcom t. zw. korytarz, Gdańsk powraca do Niemiec, Polska uzyskuje wolną strefę portową na morzu Bałtyckiem, Niemcy zaś pomagają Polsce do uzyskania Ukrainy i przyłączenia jej do Polski drogą federacji, terytorja zaś dawniej niemieckie a zabrane dziś przez Polskę wrócić muszą w całości do „macierzy niemieckiej". Rumunja byłaby w realizowaniu tych planów pomocną niewątpliwie, a sfederowana z Ukrainą Polska stanowiłaby potężny, 90-miljonowy blok na wschodzie Europy, gwarantujący pokój Europie".

Ks. Koczubej straszy, że Niemcy tak czy owak odbiorą Polsce Pomorze, jeżeli nie ugodą, to siłą. Więc czyż nie lepiej ugodzić się dobrowolnie: blok 90-miljonowy! Nie mówi się nic o wojnie z Rosją i o tem, że owa Ukraina, to darowane Niderlandy. Niemcy je dają! Ale my w każdym razie ze swego gniazda się usuniemy.

„Sanacja" rozmarzona: Polska od Karpat do morza Kaspijskiego. Stamtąd, to już posiadając, moglibyśmy pomyśleć, dla zaokrąglenia, o Persji, potem o Indjach. I pomyśleć, że to wszystko możemy zdobyć w drodze pokojowej, jedynie przez ugodę z Niemcami, przez uległość dla nich!

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

O CENTRUM DUCHOWE POLSKI

(Na marginesie Kongresu Eucharystycznego w Poznaniu)

PRZEŻYLIŚMY podniosłe dni Kongresu Eucharystycznego w Poznaniu. Zaiste — największa to chyba manifestacja religijna, jaką Polska kiedykolwiek widziała. Znalazła w niej wyraz myśl katolicka, ujawniona w obradach zjazdowych, — w licznych, na wysokim poziomie stojących referatach i w ożywionej nad niemi dyskusji, wykazującej nurtowanie w szeregach katolickiej części społeczeństwa, a zwłaszcza młodej inteligencji katolickiej intensywnych i pogłębionych prądów myśli religijnej. Znalazło uczucie, — głęboka, szczera, prosta wiara, — która opromieniała mroczne, rozjarzone blaskiem świec nawy kościołów, przepełnione rozmodlonemi tłumami w czasie nocnych adoracyj Przenajświętszego Sakramentu i Mszy Świętych, odprawianych o północy, — prowadziła nie kończące się kolumny wiernych, całemi tysiącami przystępujących codzień do Komunji świętej, — szeregowała długie kolejki przy konfesjonałach. Znalazła twórcza wola i czyn organizacyjny, uwidoczniony w świetnej organizacji zjazdu, w jego nadzwyczajnie licznem obesłaniu, we wzorowym porządku na wielotysięcznej procesji i — co trudniejsza — na nabożeństwie polowem na stadjonie o nielicznych wyjściach, gdzie brak karności, ładu i sprawnej ręki kierowniczej — takich, jakieśmy widzieli, — byłby mógł z łatwością spowodować ścisk, mogący mieć skutki wprost groźne.

Warszawiakowi, obecnemu na zjeździe, ciśnie się nieodparcie do głowy zapytanie — jaki byłby przebieg podobnego kongresu, gdyby go urządzono w stolicy? I nasuwa się nieodparta odpowiedź: nic udałby się — przynajmniej nie udałby się w tym stopniu. Utonąłby w mieście, tak jak tonie w niem procesja Bożego Ciała, hamując conajwyżej normalny przebieg ruchu tramwajów, — lecz samby miastem nie owładnął. W Poznaniu całe miasto żyło kongresem. Wszystkie kamienice od dachów aż do ziemi udekorowane były flagami i girlandami zieleni, — we wszystkich oknach paliły się świece, — cała ulica przyłączała swoje głosy do śpiewów procesji, — cała ludność interesowała się przebiegiem obrad. W Warszawie wywieszonoby flagi w bramach domów — gdyby dzielnicowy nakazał. Śpiewów — naiwnych, starodawnych pieśni Bożego Ciała — nie podtrzymałby nikt na chodniku, choć wielu z tych, którzy tam stoją, umie się modlić żarliwie — w kościele. Nie mieliby śmiałości śpiewać głośno, nie stojąc w procesyjnym orszaku, — skrępowanie obecnością przygodnie zgromadzonych, obojętnych gapiów, obawa przed ich zdziwionym, albo drwiącym wzrokiem — zamknąłby im usta. Atmosfera kongresu, — atmosfera wielkiej i podniosłej uroczystości religijnej, — nie przepoiłaby miasta.

Dlaczego?

Jakież to proste! Nie jesteśmy w Warszawie u siebie. W Poznaniu czujemy się, jak we własnem mieszkaniu, — w środowisku zgromadzonej i kochającej się wzajemnie rodziny. W Warszawie — jesteśmy trochę jak pasażerowie w tramwaju. Atmosfera domowego ogniska w tramwaju

się nie wytworzy. W Warszawie tylko czasem i tylko w niektórych dzielnicach miasta czujemy się — tak jak w Poznaniu — u siebie. Oczywiście — w domu własnym lub przyjaciół. Oczywiście — w kościele (bośmy tam sami swoi, — nikt obcy tam wszak nie przychodzi). Również — na ulicy w dzielnicy staromiejskiej, gdzie stare, pełne tradycji, patrjotyczne warszawskie mieszczaństwo nie dało się jeszcze zepchnąć w cień i nadaje ton całemu życiu. Czasami, — rzadko, — w teatrze na jakiejś rasowo polskiej sztuce, na którą sami tylko swoi, rozmiłowani w polszczyźnie widzowie przychodzą, choćby ostatnio na Miłaszewskiego „Balu w obłokach". Oczywiście — na posiedzeniach polskich, „endeckich", katolickich organizacyj. Pozatem — wszędzie czujemy się przemieszani — jak w tramwaju — z ludźmi, którzy nam są obcy. Przedewszystkiem — z żydami. Pozatem z żywiołami polskiemi wprawdzie z rasy i z języka, — jednak bezbarwnemi i beznarodowemi z ducha, — zbieraniną ludzką zżydziałą, odpolszczoną, skosmopolityzowaną, zobojętniałą narodowo i religijnie.

Dla powstawania wielkich dzieł potrzebna jest odpowiednia atmosfera. Dzieła wysiłku indywidualnego, — genjalne dzieła sztuki czy myśli ludzkiej — mogą powstawać i powstają nieraz na peryferjach świata danej cywilizacji, — bo atmosfera walki, atmosfera ścierania się z żywiołami obcemi, nie osłabia jednostki, — owszem hartuje ją i życie jej wzbogaca i uintensywnia. Ale twórczość zbiorowa — a życie narodowe polega przedewszystkiem na twórczości zbiorowej, — na głębi i sile ogólnego nurtu życia cywilizacyjnego, — twórczość zbiorowa nie osiąga pełni, gdy ma się odbywać w atmosferze, skłóconej przez obecność pierwistków obcych. I dlatego wielkie dzieła w życiu polskiem,—dzieła wymagające zbiorowego entuzjazmu, zbiorowej woli, zbiorowej, zgodnej pracy — nie w Warszawie dokonywają się po wojnie. Warszawa jest siedzibą władz. Ale centrum duchowe życia polskiego musiało się narazie ustalić gdzieindziej, bo w Wazszawie miejsca dlań niema. Kongres Eucharystyczny nie mógł się w tak podniosłym nastroju odbyć w stolicy — odbył się w Poznaniu. Powszechnej Wystawy Krajowej nie zbudowanoby w Warszawie, — zbudowano ją w Poznaniu. Niezliczone zjazdy i manifestacje, odbyte w zeszłym roku w związku z wystawą — tylko w Poznaniu mogły się udać. Obóz Wielkiej Polski — założono w Poznaniu. Centrem życia religijnego w Polsce stała się rezydencja Prymasowska — Poznań. Twierdzą i ostoją obozu narodowego jest — Poznań. Nie przypadkiem zapewne pod murami tego miasta leży Chludów, gdzie zamieszkał sternik myśli politycznej polskiej — Warszawiak rodowity — Roman Dmowski. Hegemonję duchowe w życiu polskiem sprawuje dziś Poznań, — największe zresztą po Warszawie miasto polskie, — górujące liczebnie bardzo znacznie nad Krakowem, Lwowem czy Wilnem, jeśli od ludności miast tych odliczymy żydów.

A my, mieszkańcy oficjalnej stolicy, możemy się tylko radować z tego, że jest w Polsce miasto, które zdolne jest nas w wykonywaniu przerastających nasze siły zadań wyręczyć. I możemy pracować nad tem — by w Warszawie intensywne ognisko życia polskiego wytworzyć. Dawniej bywało lepiej w Warszawie, — da Bóg, że będzie lepiej i w przyszłości. Był czas, gdy żydzi siedzieli na Nalewkach — a Krakowskie Przedmieście było polskie. Dziś niema granicy — ani terytorjalnej ani duchowej — między polską Warszawą, a ghettem. Ta generacja inteligencji polskiej, która wyłoniła z siebie inteligencką część obozu „sanacji" — nie zdaje sobie wogóle sprawy z konieczności odgrodzenia się od żydów i dbania o czystość cywilizacyjną życia polskiego. Nic dziwnego, że życie polskie w Warszawie — w okresie, gdy generacja ta jest u steru — utraciło oblicze polskie, — wyjałowiło się, wyblakło, zwiędło. Warszawa w 1920 roku potrafiła jeszcze zedrzeć z siebie pokost obojętności narodowej, ukazać oblicze rasowo-polskie, pełne tyżyzny, entuzjazmu i ofiarności. W maju roku 1926 — w kulminacyjnym punkcie władania nad duszami tego wszystkiego, co się streszcza w wyrazie: „sanacja" — istny paraliż owładnął Warszawę. Przypatrywała się wypadkom obojętnie, — jak efektownemu widowisku, — nie wkładała w ustosunkowaniu się do nich ani iskry moralnej oceny. Grupa paragwajskich turystów nie mogłaby się mniej po polsku odnieść do wydarzeń majowych, niż ogół ludności stolicy.

Ale duch Warszawy się zmienia. Idzie nowa generacja inteligencji warszawskiej —polska w każdym calu. Na ławach wyższych uczelni warszawskich Polacy i żydzi siedzą fizycznie z sobą przemieszani, — lecz duchowo oddzieleni są od siebie, jak oliwa od wody. W nowej generacji kształtuje się na nowo — duch polski.

Głowy do góry! Być może długo jeszcze Warszawa pozostanie zażydzona fizycznie, — duchowo jednak odżydza się szybko i niedługo będzie tak polska, jak Poznań. A wtedy — będzie mogła się stać jednem z centralnych ognisk życia polskiego.

WIEL.

NAUKA I LITERATURA

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO I LITERACKIEGO

W niniejszym numerze „Myśli Narodowej" rozpoczynamy drukować bardzo interesujące studjam Jana Gwalberta Pawlikowskiego z dziejów mesjanizmu polskiego: „Społeczno-polityczne ideje Słowackiego w dobie mistycyzmu". Przypominamy, że w roczn. 1929 „Myśli Narodowej" ogłosiliśmy pracę literacką Z. Wasilewskiego o autorze tego studjum. Studja jego nad Słowackim zyskały mu wysokie stanowisko w świecie naukowym.

*

Nowy tom, tom III-ci, wydawnictwa Towarzystwa Nauk. Warsz., Wydział I Językoznawstwa i Literatury, pod tytułem „Z dziejów literatury polskiej wieku XIX" odznacza się rzeczową i interesującą treścią. Rozprawa Gabrjela Korbuta „Pogrom obskurantów z przed stu laty" ukazuje przedświt polskiej analitycznej i porównawczej krytyki, a tegoż autora „Bohdan Zaleski i Stanisław Worcell w roku 1832" wspomina, dziś niemal nie do wiary, entuzjazm Niemców dla polskich w r. 1831 bojowników niepodległości. Lucjusz Komarnicki w rozprawie „Z historji poczucia piękna przyrody w polskiej literaturze romantycznej" rozpatruje twórczość poety Tymona Zaborowskiego. A. Drogoszewski w rozprawie „Kilka dat do życiorysu i działalności pisarskiej Woronicza" ustala chronologję prac autora „Sybilli". Obok tych, rozprawy Zofji Szmydtowej „Norwid jako tłómacz Homera", R. M. Blütha „Chrześćjański Prometeusz", „Wpływ Boehmego na koncepcje III części „Dziadów", Andrzeja Boleskiego „Sen Srebrny Salomei", i z przedmową Zofji Szmydtowej szkic powieści Narcyzy Żmichowskiej „Dwoiste życie" ukazują w świeżym blasku wartości literackie epoki romantycznej.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Europa wykazuje w ostatnich latach szczególne zainteresowanie Ameryką. Ogromny rozmach twórczy, śmiałość i przedsiębiorczość Yankesów zaimponowały starej Europie, to też wędrówki i podróże do kraju wszelkich możliwości stają się coraz częstsze. Przodują pod tym względem Francuzi. Ostatnie miesiące przyniosły nam dwa tomy niezwykle ciekawych impresyj z podróży po „Kraju przyszłości". Są to Duhamel'a: *„Scènes de la vie future"* i Morand'a: *„New-York"*.

Duhamel, który dużo podróżował, nie kryje wcale rozczarowania, jakiego doznał. Owa przechwalona „wolność amerykańska", z bliska oglądana, nie przedstawia się bynajmniej tak ponętnie, jakby się wydawać mogło. Rząd Stanów Zjednoczonych w swej troskliwości o hygjenę i zdrowie ludności okazuje się prawdziwym tyranem w stosunku do przyjezdnych. Próbki tej troskliwości doświadczył Duhamel na sobie. Rozczarowanie autora rośnie w miarę, jak zwiedza Stany Zjednoczone. Prawdziwy okrzyk podziwu wyrywa mu Chicago. Z czem się europejczykowi trudno pogodzić, to z powszechnem zmechanizowaniem: mechaniczna muzyka miast prawdziwej, konserwy miast świeżych potraw. Zmechanizowanie życia Ameryki wydaje się Duhamelowi gorszą niewolą, niż t. zw. niewola europejska. Pośpiech, gorączkowość, wieczny brak czasu, zupełny brak życia rodzinnego, kompletna nieobecność wszystkiego tego, co w Europie się uważa za podstawę znośnego życia. Jeżeli Ameryce czego brak, to przedewszystkiem głęboko wstrząsających doświadczeń, przez które dojrzewają narody. Jeżeli życie przyszłości tak się ma przedstawiać, woli Duhamel starą, poczciwą Europę. Książkę Duhamela czyta się z niesłabnącą satysfakcją, bo jest żywa, oryginalna i ze wszechmiar ciekawa.

Książka Morand'a jest poświęcona wyłącznie New-York'owi. „Co New-York ma naprawdę pięknego, jedynego, to jego gwałtowność. Ona go uszlachetnia, usprawiedliwia, pozwala zapomnieć o jego wulgarności. Bo New-York jest wulgarny". Morand dochodzi, mimo ogromnego entuzjazmu dla Ameryki, do podobnych konkluzyj, co i Duhamel. Niedawno wydane „Uwagi i refleksje z podróży po Stanach Zjednoczonych" Dyboskiego potwierdzają w dużej mierze obserwacje francuskich autorów.

*

„Irène, femme inconnue" (Fascelle èdit.) jest ciekawą powieścią, odmalowującą nam teraźniejsze obyczaje, snobizm naszej epoki, potrzebę sensacji. Bohaterką jej jest właśnie owa Irena, kobieta nieznana, awanturnica, zaś bohaterem wielki przemysłowiec, żonglujący interesami i miljonami. Oprócz tych protagonistów, autor, p. Albértic Cahuet zapoznaje nas z całym szereg niemniej interesujących typów miedzynarodowych, które Paryż przyjmuje z otwartemi rękami, nie wiedząc skąd pochodzą, kim są: wystarcza mu tylko, że swoją odmiennością wprowadzają w życie stolicy nową, nieznaną nutę. Bohater tej książki, Frank Gérald jest właśnie jednym z tych potentatów, jednym z tych królów bez korony, ale o którego łaski ubiegają się wszyscy, gdyż potęga dolara jest między-kontynentalna. Frank Gérald nie jest zwykłym amerykaninem. Za swoich bowiem częstych pobytów w Paryżu, opuszcza progi przepysznych hoteli i znika tajemniczo. Dokąd się wówczas udaje? Do skromnego mieszkania, gdzie przy fotografji swej zmarłej, a ukochanej siostry spędza chwile, które są poniekąd dla tego potentata na jego sposób robionym rachunkiem sumienia. W tem swem rodzinnem otoczeniu młodych lat przeżywa on dawne wspomnienia, kiedy jeszcze zwał się poprostu François Gérard i był oczywiście Francuzem.

*

„La Passion de Nadaline" (Albin Michel). Powieść bardzo subtelna, gdyż temat jej specjalnie był trudny do ujęcia i delikatny. Akcja jej rozgrywa się w przepięknej krainie pirenejskiej. Proboszcz Déodat Barcus dowiaduje się od umierającego, że ongiś inny człowiek został na jego miejsce oskarżony niewinnie o zabójstwo. Umierający, wyznając swoją winę, pozostawia również swój majątek do wynagrodzenia rodziny. Ksiądz Déodat odnajduje córkę niesłusznie oskarżonego, Nadaline i zabiera ją do siebie. Zrazu niemal dzikie dziewczę prędko się cywilizuje. Nadaline wdzięczna mu jest za wszystko, co dla niej czyni, z uwielbieniem jest dla księdza, ale powoli budzi się w jej sercu i inne uczucie. Ludzie, wieś zaczynają plotkować: ksiądz Déodat, o duszy prostej i czystej nie widzi zła. Powoli jednak zdaje sobię sprawę, że jest kuszony. Wówczas straszna walka powstaje w jego sercu, której etapy autor, p. Jean Rameau przeprowadził z równą finezją i siłą. Nękany wreszcie niepokojem ksiądz opuści probostwo, by dostać się do swej wsi rodzinnej. Tam, na górze, znajduje się jednak droga krzyżowa. Ku niej to zmierza ksiądz Déodat, złamany na duszy, złamany na ciele. Straszna zawierucha śnieżna zasypie go. Umrze tuląc do piersi kamienny krzyż i błagając o przebaczenie Przy nim skona również Nadaline, która jak pies wiernie za nim postępowała.

ZMARLI

Ś. P. LESZEK KONOPACKI

PRZEZ nasz świat literacki przesunął się, jak cień, i zeszedł do grobu ze słowami przeprosin na ustach, że mógł mimowoli przeszkodzić komuś w zajęciach pilniejszych, niż badanie zagadnień ducha. Szedł brzegiem, ustępując, cichy, nieosobisty, jakby z musu w ciało ubrany duch: Leszek Konopacki.

Komuż zrobił kłopot swoją osobą? Komu kazał się podziwiać, choćby tylko poznać bliżej? Zamiast ręki podawał ludziom ideę, ale nie nastawał na niczyją wolność myślenia; nie miał dość energji, aby narzucać ideę, ani warunków zewnętrznych po temu — zawiadamiał krótko w swych pracach o możliwościach myślenia w takim a w takim kierunku. Płonęły w nim widzenia wielkiego życia duchowego tem jaśniejszem światłem, im słabsze było jego własne życie fizyczne. Gasł sam w marzeniach o jasności. Z zajętego przez się skrawka świata usuwał się w cień ze swą nieśmiałością, ubogi nawet w pretensje do świata, bo świadomy swojej niemocy i tego, że mu nikt nic nie winien.

Nikomu serca do dna nie otwierał, mało kto znał jego żywot, a chyba nikt się nie domyślał, że urodzenie przeznaczało mu daleko bujniejszą linję życia. Ś. p. Leszek Konopacki urodził się w r. 1884 na Ukrainie w majątku Ulanikach nad Dnieprem niedaleko Kijowa, w majątku rodowym Konopackich. Rodzicami jego byli Przemysław Konopacki i Marja z Jacynów Konopacka. Ojciec umarł przed wojną i Leszek pozostał jedynym dziedzicem pięknych włości. Ci, co pamiętają te czasy, a teraz w Otwocku, gdzie Leszek zmarł na gruźlicę, szli za jednokonnym wozem chłopskim, wiozącym trumnę drogą piaszczystą, mimowoli wspominali pałac, przed którym czekał na Leszka pojazd z hajdukami, zaprzężony w czwórkę karych koni z ogonami do ziemi. Najmniej pewno myślała o tem odprowadzająca syna matka, dla której niczem już wszystkie straty.

Rodzice w obawie o zdrowie jedynaka kształcili go w Teodozji. Ukończył tam szkołę średnią ze złotym medalem. Leszek zamierzał ukończyć politechnikę w Kijowie. Stąd jednak przeniósł się wkrotce do Lwowa, ale zniechęcony do nauk technicznych, przerzucił się na wydział przyrodniczy i ten ukończył chlubnie w Kijowie. Do pracy na roli nie mając żadnego pociągu, osiadł przed wojną w Warszawie, gdzie chciał znaleźć ognisko życia umysłowego. Po utracie majątku, zabranego przez Sowiety, oddał się pracy pedagogicznej. Wykładał przyrodoznawstwo, był dyrektorem naukowym w szkole p. Stiche, nie ustając w pracy naukowej. Niestety choroba płucna wciąż przerywała pracę zawodową i w końcu ją uniemożliwiła. W ostatnich latach, licząc na poprawę zdrowia, wrócił do służby i jakiś czas był kierownikiem Seminarjum Nauczycielskiego w Łucku. Wkrótce jednak musiał to stanowisko porzucić i pozostał — bez chleba. Dosłownie. Usiłował ratować siebie i ukochaną matkę zarobkami literackiemi. Jakie były owoce tych wysiłków, możemy mieć pojęcie, znając warunki pracy w Warszawie i usposobienie ś. p. Konopackiego, o którem na początku mówiłem. Kończył życie w nędzy, kilka ostatnich miesięcy obezwładniony chorobą, już bez żadnego zarobku.

Czytelnicy „Myśli Narodowej" go znają i wiedzą, jak wielkiej wartości były jego prace. Przypomnę ważniejsze tutaj ogłoszone: w r. 1925: Usprawnienie sił narodowych s. 12; 1926: Tradycja kamieni 71; 1927: Świadomość rodu i ziemi 93, Ironja faktów 315; 1929: Szkic mistyki naukowej 149, Nowa książka o literaturze angielskiej 198, Regjonalizm

w sztuce 470; 1930: Z filozofji sztuki 28, Ziemia i poeci 118, Z dziejów natury w kulturze 165. Widzimy z tego spisu, jak szerokie były zainteresowania tego pisarza, jak głęboka wiedza, a wreszcie, że nad przyrodnikiem i wychowawcą górował w Konopackim filozof.

Poczynał w młodości od poezji. Wydał w Krakowie dwa zbiory: „Poezje“ 1907 i „Na Krymskim wybrzeżu“ (Pamiętnik poetycki) 1910. Ostatni tom opatrzył przedmową, w której wyłożył swój własny na poezję pogląd. Studja i szkice filozoficzne drukował w wielu czasopismach: w Przeglądzie Filozoficznym, Tygodniku Ilustrowanym, w Gazecie Warszawskiej (tutaj w latach 1919 — 1925 większe prace, bardzo cenne). Z prac wydanych osobno wiem o trzech: 1) Królestwo Ziemi, Studja bio-psychologiczne Kraków 1910. 2) Kupała. Wykład o rozkoszach przyrodzenia. Warszawa 1914 i 3) Kultura uczucia w stosunku do dziejów i życia. Warsz. 1921.

Wszystkie te rzeczy sam wydawał z zarobków nauczycielskich, do księgarzy nie umiał się zbliżyć. Dopiero w ostatnich latach, słysząc, że powieść popłaca, jął się tego sposobu zarobkowania. Wydał pod pseudonimem A. Kaëll w Warsz. 1926 w Bibljotece Domu Polskiego tomik p. t. „Tauris słoneczna. Powieści krymskie“; w r. 1929 — 30 napisał drugą powieść, ale tej rękopis któraś redakcja zagubiła...

W jednym z ostatnich listów (1929) pisał mi ś. p. Konopacki o swojej biedzie: „Znalazłem się w sytuacji katastrofalnej. Mówiono mi, że na wiosnę wydobrzeję, tymczasem nastąpiło nagłe pogorszenie mego stanu i znów jaki rok kuracji w perspektywie. Środki już się wyczerpały i pozostaje kołatanie do różnych instytucyj, albo — wolę nie kończyć“ Następuje szereg pomysłów gdzie szukać ratunku, jakby tonący powietrza się chwytał, a wreszcie: „Wydanie paru książek, wiec np. Umysłowość współczesna — filozofja, sztuka, człowiek—zbiór rozrzuconych artykułów z Tygodnika Ilustr., Gazety Warsz. i t. d.; powieści dosyć ekscentrycznej; poezyj—rzeczy dawniejszych — w dobrej formie p. t. Psałterz aryjski — liryki antyczne i t. d.“

Ktoby się zajął spuścizną ś. p. Konopackiego, a fundusz na ten cel znalazł, mógłby wydać wartościowy tom studjów, włączając mało znane prace, wyżej wymienione. Byłoby to piękne uczczenie pamięci iście aryjskiego myśliciela i bardzo oryginalnego.

W pracy swojej o kulturze uczuć ś. p. Konopacki ujawnił całą głębię poglądu na człowieka i zadania kultury. Żeby przezwyciężyć materjalistyczną teorję dualizmu, płynącego z psycho-fizjologicznego podziału człowieka na rozum i popędy, oparł syntezę na życiu uczuć. I tu jest myślicielem polskim, pogłębiającym poprzedników, którzy tą syntezę widzieli w woli. Jego teorja potencjału psychicznego jest wielką zdobyczą psychologji nowoczesnej, rozszerzającą człowieka na środowisko, które przedstawia dla niego wartości uczuciowe. Człowiekowi według Konopackiego tylko się zdaje, że mu chodzi o r z e c z y poza nim będące, jemu chodzi o u c z u c i a z temi rzeczami zespolone. Świat dla niego jest systemem wartości uczuciowych. Wszystkie jego prace zmierzają do tego, aby wykryć potencjał uczuciowy dla danego typu ludzkiego i zanalizować, jakie otoczenie wpływa na człowieka twórczo i krzepiąco. Stąd płyną piękne jego analizy stosunku uczuciowego do środowiska społecznego, a zwłaszcza do przyrody.

W ostatnim roku nosił się z myślą dania inicjatywy, aby stworzyć w Warszawie towarzystwo, propagujące potrzebę pogłębiania wiedzy filozoficznej i badania tak płodnych dla kultury narodu zagadnień.

Wyobraźmy sobie coby było, gdyby ś. p. Konopacki był Francuzem dajmy na to, pisarzem, mającym oparcie w wielkim aparacie cywilizacji, pewnym siebie, to znaczy pewnym tego, że jego wysiłek pozostanie w prostym stosunku do rezultatów, człowiekiem nie obarczonym schedą psychiczną niewoli, mającym warunki obpowiednie pracy. Czy tak skromnie wyglądałyby jego prace? Nie. Każda jego rozprawka pęczniałaby w piękny tom, niekrępowany ani kosztami wydawnictwa, ani poczuciem nieśmiałości. Idee wstydliwie wypowiadane rozwijałyby się rozdziałami kunsztownie stylowo opracowanemi, książki znaczone byłyby numerem porządkowym edycji, autor byłby głośnym człowiekiem. A w chwili jego śmierci pełno byłoby w prasie portretów jego i nekrologów.

Czy mamy zazdrościć innym, że u nas tak nie jest? Że ś. p. Konopacki, głębszy, świętszy i większy erudyta od wielu sławnych myślicieli i wychowawców, umiera nikomu nieznany, a biedny wóz wiezie jego zwłoki do samotnej mogiły na mazowieckich wydmach?

Nie, nie trzeba zazdrościć, lecz modlić się na takiej mogile, aby pracą w normalnych warunkach i nasz naród doszedł corychlej do cywilizacji, gdzieby znalazło się miejsce dla ludzi myślących i ludzi serca.

Z. W.

ŚP. KAZIMIERZ NOISZEWSKI

W DNIU 5 lipca zmarł w Warszawie prof. uniw. warszawskiego na katedrze okulistyki, śp. Kazimierz Noiszewski. Był jednocześnie dyrektorem kliniki ocznej uniw. i prezesem Tow. Okulistycznego. Cieszył się sławą, jako okulista, jeszcze przed r. 1900, gdy ordynował w Dyneburgu. Ur. 1859 w Wilnie, szkoły kończył w Orle, uniwersytet w Moskwie 1883. Od r. 1900 był docentem w Moskwie, a od r. 1908 w akademji med. w Petersburgu. Po wojnie osiadł w Warszawie, gdzie w r. 1920 objął katedrę. Bibljografja naukowa liczy 180 jego prac. W r. 1922 założył i redagował kwartalnik p. t. „Klinika oczna“. Zostawił po sobie dobrą pamięć jako prawy człowiek i obywatel.

NOWE KSIĄŻKI

P a w l i k o w s k i M i c h a ł. Harfa Eola (Paryż). Medyka 1930. Bibljoteka Medycka. Op. 7.

S ł o n c z y ń s k a A n n a. Barwy i dźwięki (Poezje). Poznań 1930. Księg. św. Wojciecha.

K r a s i ń s k i Z y g m u n t. Listy do Delfiny Potockiej 1839—1843. Przysposobił do druku Adam Żółtowski. Poznań 1930. Nakł. Pozn. Tow. Przyj. Nauk. Str. XVII i 582 (prtrety i autogr.).

M o r a w s k i S t a n. dr. Szlachta - bracia. Wspomnienia, gawędy, djalogi (1802—1850). Wydali Adam Czarkowski i Henryk Mościcki. Poznań (1930). Wegner. Str. XIV i 258. (ilustracje).

N o w a m u z y k a. Monografje zbiorowe pod redakcją Mateusza Glińskiego. Warsz. 1930. „Muzyka“.

S k a r b e k A n n a. Co mówią wieki o wiekach. Warsz. (1930). Skład u Gebethn. i W. Str. 240.

P i e k a r s k i S t a n. dr. Prawdy i herezje. Encyklopedja wierzeń wszystkich ludów i czasów. Warszawa 1930. Zesz. 1 i 2.

L o r e n t o w i c z J a n. Dwadzieścia lat teatru. Tom II. Warsz. 1930. F. Hoesick. S 580.

K a r p i ń s k i S t a n i s ł a w. Z przeżyć i wrażeń wieśniaka (1855 — 1911). Warsz. 1930. Skład w Gebethner i W. S. 424.

T a l k o - H r y n c e w i c z J u l j a n. Z przeżytych dni. (1850 — 1908). Warsz, 1930. Dom książ. polskiej S. 335.

T r e t i a k A n d r z e j. Lord Byron. Poznań 1930. Wydaw. Polskie (L. Wegner) S. 397.

B a n d r o w s k i J e r z y. Wściekłe psy. Powieść Wyd. II. Poznań. L. Wegner.

K i p l i n g R u d y a r d. Kapitanowie zuchy. Powieść Przekład J. Birkenmajer. Poznań. L. Wegner.

S m o l e ń s k i J e r z y. Wielkopolska. Wyd. pol. L. Wegner. Str. 150 (z wielu ilustr.).

W a s i u t y ń s k i B o h d a n. Ludność żydowska w Polsce w w. XIX i XX. Stadjum Statystyczne. Warsz. 1930. Wyd. Kasy im. Młaczowskiego. S. 227.

G r z e g o r c z y k P i o t r. Bibljografja miejszości narodowych w Polsce za r. 1929. Warsz. 1930. Odbitka ze „Spraw narodowościowych“ w 100 egz. S. 16 (pozycji 371).

C h w a l i b ó g F e l i k s. Aforyzmy i refleksje. Serja IV (i ostatnia). Kraków 1930. Gebethner S. 32.

S p r a w o z d a n i e Zarządu gł. Polskiej Macierzy Szkolnej z dział. Tow. w r. 1929. Warsz. 1930. S. 136.

OFENSYWA

CZUJ DUCH!

W PAŹDZIERNIKU zeszłego roku p. wiceminister spraw wojskowych jenerał Daniel Konarzewski wystosował do jenerała broni Józefa D. Muśnickiego następujący list, który tu podajemy w skrócie:

Wielce Szanowny Panie Jenerale!

Z wielką radością dowiedziałem się o stanowisku Pana Jenerała i Jego ewentualnej zgody, *(sic!)* danej Stowarzyszeniu Dowborczyków, aby takowe jako „Dowborczycy" i pod hasłem swego Dostojnego Dowódcy nadal współpracowali *(sic!)* z Rządem dla dobra i „Ku Chwale Ojczyzny". Pan Prezydent Rzeczypospolitej byłby bardzo rad widzieć i poznać Pana Jenerała (zasługi którego dla Ojczyzny są mu dobrze znane). Pan Prezydent przyjąłby Pana Jenerała 5 lub 6 listopada.

W przekonaniu, że Pan Jenerał ku naszej ogólnej radości nie zmieni Swego postanowienia, łączę wyrazy głębokiego szacunku i poważania.

(—) D. Konarzewski.

30. 10. 1929 r.

Jak widzimy z tego, jest list ten pisany w tonie europejskim, kurtuazyjnym, godnym adresata i adresanta... Pan Prezydent Rzeczypospolitej gotów przyjąć jenerała Dowbora... Zasługi p. Muśnickiego „znane są dobrze" p. prof. Mościckiemu... Rozchodziło się tylko o drobnostkę...

Generał Muśnicki odmówił.

List odpisał bardzo twardy.

I na Zamku się nie pojawił. Ale nie w tem rzecz i nie o to chodzi. Rzecz w tem, aby zestawić ton, w jakim pisze wiceminister do generała, kiedy zależy na tem, aby go pozyskać dla pewnych celów... zestawić ten ton z tym stylem, jakim o tym samym generale Dowborze pisywała sobie stale liberja komendancka i wynajęte prasowe łobuzy. Trzeba to sobie tylko przypomnieć. Nie było takich insynuacyj, takich przeinaczań prawdy, kłamstw, oszustw i szyderstw, na jakieby nie pozwalali sobie w stosunku do generała („którego zasługi dla Ojczyzny dobrze są znane Panu Prezydentowi") piszący *valets de chambre*. Jak na generałów Hallera, Sikorskiego, Szeptyckiego, ś.p. Rozwadowskiego, ś.p. Zagórskiego, tak i na generała Dowbora sypały się latami całe lawiny ehrenberguana jako na wielokrotnego „zdrajcę" „co sprzedał Niemcom"... „pod Bobrujskiem"... etc. przyczem świadomie fałszowano prawdę, wiedząc doskonale, jaką w tem wszystkiem rolę odegrała sławetna „Rada Regencyjna". Teraz dopiero, kiedy chciano wymusić od niego zaprzedanie Dowborczyków, przypomniano też sobie o jego „zasługach dla ojczyzny".

Manewr się nie udał.

Rzuca to atoli pełne światło na moralność i maniery tych panów w ustosunkowaniu się do wszystkich głośnych ludzi epoki. Kto przechodzi do ich obozu, temsamem z najczarniejszego staje się „nad śnieg bielszym". *I vice versa*. Kto od nich odchodzi, *stante pede* staje się „wrogiem ojczyzny", sprzedawczykiem, „Targowiczaninem", „mordercą ś. p. Narutowicza" i t. p. W ostatnich czasach doświadczyli tego losu liczni członkowie dawnej maffji. Na Daszyńskim, byłym panegiryście J. Piłsudskiego, autorze zabawnej dworskiej o naczelniku broszury, poprostu suchej nitki nie zostawili. Biedny Czechowicz też naczytał się o sobie bolesnych inwektyw. Najbezlitośniej atoli obeszła się Bandar-Log-banda z tym nieszczęsnym Strugiem. Żeby mu już doszczętnie obrzydzić życie zaczęto przedewszystkiem na gwałt windować w górę tego spryciarza *faux-bonhomme* Sieroszewskiego. Celem zatuszowania przykrych dlań rewelacyj o bezceremonjalnem plagjatorstwie, zrobiono zeń znakomitość narodową na eksport. Sieroszewski opływa w popularności i profitach jak „pączek" w maśle, a nieszczęsny Strug chudnie i w oczach niknie. Sieroszewski ma wille nad morzem, zaszczyty, ordery, wszędzie prezyduje, rezyduje, obwożą go i honorują jako *celebritas*, synkom powtykali synekury, wnet będą paradowali we własnych autach „nowi panowie", arystokracja Bonaparstka, elita... bo potrafią iść i pchać się górą... A Strug siwiuteńki jak gołąbeczek, chudy jak szczapa wciąż sobie idzie doliną, idzie doliną... Oni, zakwitną różą, zakwitną różą, a on „były"... kaliną, ledwie kaliną. Ani orderów, ani zaszczytów, ani willi nad morzem, ani krewniaków po ministerstwach, ani prezydowania, ani Legji Honorowej, nic. Byłby popełniał plagjaty literackie ale pozostał w liberji Komendanta, byłby dziś u góry w chwale i w sławie. A tak co? Gorzki chleb opozycji, no i do tego zamiast masła czerna maź inwektyw, rewelacyj, wyszydzań i kpin.

W „Niedyskrecjach" „Gazety Polskiej" z dnia 17 czerwca zamieścił o nim niepodpisany autor surową, bezlitosną wprost charakterystykę. Były „bohater" legjonowy potraktowany w tem jest i zatytułowany jako „Były Łazik". Całe lata czytywaliśmy o nim jako o bohaterze, wojaku, polskim Petöfim, co to w jednej ręce pióro, w drugiej szabla, a tu czytamy dzisiaj:

„Bo trzeba wiedzieć, że znakomity obywatel Tygrys zajmował skromne stanowisko podoficera prowiantowego jednej z kompanij piechoty i cieszył się słusznie opinją skończonego i niepoprawnego łazika".

Sieroszewski był też tylko łazikiem w olbrzymiem ułańskiem „czaku" papierowem na głowie, Kaden-Bandurski także ani uncji prochu nie powąchał, biskup polowy Legjonów Bandurski całą kampanję w Wiedniu przemieszkał a setka literatów i malarzy małopolskich też cacanie się w Legjonach dekowała przed austrjacką ciężką służbą; ale tylko Strugowi jednemu wypominają dziś, że był „skończonym łazikiem", że ani w P. O. W., ani w Związku Walki Czynnej, ani w I-szej Brygadzie żadnej wybitnej roli nie odegrał. Ale to mało jeszcze. Piszą dalej:

„Były" czuje też najwidoczniej całą groteskowość swojej postaci i dlatego od czasu do czasu mniej lub więcej ostrożnie podsuwa swym czytelnikom mniemanie, że jakowemiś znanemi, a ważkiemi imionami może się żyrować. Sięga w tym celu z nieokiełznanym tupetem typowego łazika zarówno do żywych, jak i do umarłych. Liczy snać na to, wspominając nazwisko generała Kazimierza Sosnkowskiego, że ten nie oderwie się od swych doniosłych prac w Generalnym Inspektoracie Sił Zbrojnych, dla powiedzenia p. Byłemu, żeby zaś sobie jego imieniem i jego rolą w Pierwszej Brygadzie gęby w podejrzanych celach nie wycierał. Pomyśli sobie conajwyżej, machnąwszy ręką: „a szlagby go trafił" — a może i uśmieje się nad jego łazikowską hucpą...

Z imionami Zmarłych poczyna sobie p. Były jeszcze łatwiej, choć już zgoła bezwstydnie. Jest wszakże pewny, że z grobów nie powstaną — Oni, którzy polegli z imieniem Komendanta na ustach — aby mu w twarz plunąć. Skoro jednak p. Były przechwala się rzekomemi swemi bliskiemi stosunkami z t. zw. linjowcami, niechże uważa, aby kiedyś w ich obecności nie pobluźnił... I niech ich nie sadza pobok Liebermanów i Pragierów, bo łatwo go może poważniejszy szwank spotkać".

Niechże tedy p. Strug - Gałecki uważa na siebie. Już pewnie łokietkom i swendom rozdano jego fotografje. Już go pewnie szpiegują, że wieczorami se bidaczyna do kinów załazi (podczas gdy Sierosz na Zamkach trufelki zajada). Niechże pan Strug wieczorami sam na bocznych ulicach nie chadza. Z domu niech bez browinga lub gazowego straszaka nie wyłazi! Niech patrzy zawsze, do jakiego samochodu wsiada i numer pamięta! Już Czerezwyczajka z niego oka spuszczać nie będzie.

Niechże więc, powtarzam, pan Strug na siebie uważa i w okolice tych „Barów" gdzie te „Konfederaty barskie" na umor piją za kazionne pieniądze się nie zapuszcza. Djabeł nie śpi a strzyżonego Pan Bóg strzeże. Pisał on o Endekach w swej „Fortunie Śpiewankiewicza", że to „błazny i tchórze", teraz tymi samymi obelgami „błazen i tchórz" obsypuje go w swoim wisielczem, kajdaniarskim, rynsztokowym „Przedświcie" ten z plugawców najplugawszy paszkwilant i kalumujator Jędrzej Moraczewski. A jak ten Moraczewski zaczyna judzić i szczuć, to już zły znak. To znaczy, że inne rzezimiechy już ostrzą „majchry" i ładują „spluwy".

Choć tam tedy „Glinianki" już symbolicznie zasypali, panie Jędrzeju! ale bryganci i mordercy chodzą sobie na wolności całkiem bezkarnie. Zaczem ostrożność nie zawadzi!

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

W ostatnich czasach obóz „sanacyjny" puścił w świat cały szereg fałszywych odezw, depesz, okólników z fałszowanemi podpisami władz Obozu Wielkiej Polski, jak również przywódców ugrupowań centrowych i lewicowych. Twórcy fałszywych zasług i fałszywych wielkości, czują się już, jak widać, moralnie i technicznie przygotowanymi do fałszowania — podpisów...

Ale i jedno i drugie udaje się coraz gorzej. Poznano się już i na fałszywych podpisach i na fałszywej — legendzie...

*

Dwa bardzo znamienne fakty, rzucające nowe światło na taktykę obozu „sanacyjnego" w chwili obecnej, zasługują na szczególniejszą uwagę: pojawienie się odezw i okólników ze sfałszowanemi podpisami przywódców grup opozycyjnych i... nominacja ks. Żongołłowicza na wiceministra oświaty.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 12-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Tel. 19-57. Zielna 47. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.